



Fot. K. JAROCOWSKI

SWIAT NASZA KRONIKA

W PIERWSZYCH dniach kwietnia warszawscy przechodnie często przystawali na rogu Piwnej i Placu Zamkowego. Przystawali, by przeczytać nekrolog zawiadamiający o śmierci i terminie pogrzebu pewnej starej kobiety. Pod nekrologiem nie podpisała się rodzina, ale przedstawicielstwo miejscowej władzy ludowej — Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Stare Miasto.

Prezydium DRN podpisało nekrolog i ono zapewne samo nekrologowało wydrukować i pogrzeb wyprawili, a wcale nie chodziło o jakąś znaną działaczkę, o kogoś zajmującego jakieś stanowisko społeczne, czy też o kogoś bardzo wybitnego w swoim zawodzie. Tekst zawarty w szerokiej, czarnej obwódce w ogóle nie informował o zawodzie czy też jakiejś oficjalnej funkcji społecznej zmarłej. W tym miejscu, gdzie w nekrologach pod nazwiskiem zmarłego czytamy zwykle: górnik, pisarz, inżynier albo cieśla — napisano: „Opiekunka gołębi Starego Miasta”.

Umarła Kazimiera Majchrzak. Wszyscy pamiętamy tę postać dzisiejszej Warszawy, postać kobiety łączącej dobroć serca z dziwnym wyglądem, który w średniowieczu zaprowadziłby mógł na stos, na którym palono podejrzanych o czary. Nie wiemy, kim była, zanim stała się w Warszawie głośna. Wszyscyśmy ją znali. Należała do rzędu znanych nieznanych.

A przede wszystkim znały ją warszawskie gołębie.

Bo oto Kazimiera Majchrzak wróciła po wojnie na ruiny Starówki wcześniej niż inni. Zamieszkała w ruinach na Piwnej. Była już stara i zdziwaczała. Wydawać się mogło, że na nic w tej gorączce pracy, która ogarnęła miasto, przydać się nie mogła, z rękami trzęsącymi się, z plecami już zgiętymi ku ziemi. Ale ta stara kobieta zrobiła wiele dla swego miasta. Zajęła się bezdomnymi i głodnymi gołębiami Warszawy,

które jak i ludzie pozostały wierne swym spalonym gniazdom. Gdy sama już nastarczyć nie mogła wyciągającym się po żywność dziobom, za pośrednictwem „Expressu” zwróciła się do ludu o pomoc i pomoc tę otrzymała. Odtąd pełniła niejako ze społecznego upoważnienia urząd opiekunki gołębi. Mieli królowie swoich łowczych, masztalerzy, koniuszch i łuczników nadwornych, miała i ludowa Warszawa swoją gołębiarkę.

GDY dowiedziałem się o śmierci Kazimierzy Majchrzak, gdy przeczytałem jej nekrolog, długo myślałem o sprawie pięknej śmierci. Śmierć stanowi nieunikniony kres życia, jego nieuniknione w przyrodzie zakończenie. Sama w sobie nie jest żal i smutek. Ale mamy możliwość przezwyciężenia śmierci. Trzeba to czynić żyjąc. Śmierć, jaka będzie, zależy od tego, jak się żyło. Uczynić na swoim życiu wszystko, co można, co należy, dać swemu społeczeństwu jak najwięcej swych sił, pozostawić po sobie w narodzie, w swoim mieście, w swojej dzielnicy, czy też w wąskim choćby kręgu ludzi dobrą po sobie pamięć — to oznacza umrzeć ludzką, szlachetną śmiercią, dokonać po ludzku ostatniej, przymusowej funkcji istnienia.

Tymczasem ponurzy rozbójnicy bomby atomowej i wodorowej chcą za jednym zamachem milionom, dziesiątkom milionów ludzi odebrać ich najbardziej ludzkie prawo do życia i prawo do ludzkiej, pięknej, własnej śmierci. I oto znów po raz trzeci wraz z innymi narodami świata mamy swoimi podpisami założyć nasze sprawiedliwe, uroczyste veto, uroczyste „nie pozwalam” wobec planujących wojnę atomowo-wodorową. Mamy złożyć swoje podpisy pod Wiedeńskim Apelem Światowej Rady Pokoju.

Czy nasze podpisy mają w sobie siłę zagrozenia drogi wojnie? Powstrzymanie przed startem bombow-

ców, niosących jądrowe bomby? Podpis każdego z nas wydaje się czymś niewspółmiernym w porównaniu z niszczącą potęgą w tych bombach zawartą. A jednak wbrew pozorom siła nasza jest olbrzymia. Jest ona bowiem siłą wielokrotną miliardem innych ludzi świata. Jest siłą wielokrotną słusnością naszej sprawy. Tamci chcą rozmawiać z obozem socjalizmu i pokoju „z pozycji siły”. W rzeczywistości jest to pozycja, którą nazwać by można „siłą przeciw życiu”.

NASZA pozycja jest pozycją słusności. Ze słusnością tą liczyć się muszą rzecznicy atomowej śmierci, gdyż za tą słusnością stoi również potęga. Stało się bowiem tak, że przed trzydziestoma przeszło laty nie opieszałość zwyciężyła na wielkiej przestrzeni lądu Europy i Azji. Siły rewolucyjne odrzuciły teorię o niedojrzałości Rosji do rewolucji i do socjalizmu. Przygotował rewolucję Lenin i spieszył na posterunek rosyjski marynarz. Był to wielki wysiłek nie tylko o zdobycie Zimowego Pałacu. Był to wielki wysiłek sił postępowych ludzkości z siłami wojny, przemocy i reakcji. Rewolucja Październikowa dała ludzkości pewność, iż nie stanie się ona zabawką, igraszką w rękach kapitalistów. Rewolucja Październikowa zapewniła ludzkości świadomość, iż nowa, rewolucyjna, postępową klasa społeczna staje do współzawodnictwa o rozwój przemysłu, rozwój nauki i techniki.

Dzięki takiemu właśnie rozwojowi historii narody świata nie stoją dziś bezbronne wobec zbrodniczych zamierzeń amerykańskich i innych wrogów ludzkości i życia. Narody świata posiadają nie tylko słusność, ale i siłę, przodującą siłę nauki radzieckiej, która przeniknęła również i tajemnicę rozbicia atomu. Nie z pozycji słabego i bezbronnego, ale z pozycji silnego i sprawiedliwego ludzkość domaga się zastosowania energii atomowej do pokojowych, twórczych celów. Ludzkość jest silna wola narodów pragnących pokoju, silna tym, co rośnie, co buduje się w narodach zdążających do socjalizmu, wola wszystkich w świecie, którzy chcą żyć i umierać własną śmiercią, a nie śmiercią atomową, siłą reprezentowaną przez Związek Radziecki — potężne mocarstwo socjalistyczne, z którym wszyscy w świecie muszą się liczyć, bo jest decydującą siłą pokojową świata.

PYTACIE, czy taki akt jak Apel Wiedeński ma jakiejkolwiek znaczenie, choćby go podpisało nawet miliard ludzi.

Oto bieżące dni kwietnia przynoszą nam potwierdzenie faktu, iż jeden nawet dokument może wiele ważyć i znaczyć w życiu narodów. Oto 21 kwietnia upływa dziesiąta rocznica podpisania polsko-radzieckiego układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej. „Znaczenie tego układu — mówił Józef Stalin na uroczystości podpisania układu — polega przede wszystkim na tym, że oznacza on zasadniczy zwrot w stosunkach między Związkiem Radzieckim i Polską w stronę sojuszu i przyjaźni”.

Układ polsko-radziecki z dnia 21 kwietnia 1945 roku przyniósł zasadniczy zwrot w dziejach naszego narodu. Wyzwolił go ostatecznie z pęt imperializmu, pozwolił mu budować nowe życie na nowych zasadach, dał mu siłę, jakiej nie posiadał nigdy, dał możliwość dzięki pomocy radzieckiej rozbudowywać potężny przemysł, rozwijać rolnictwo, rozwijać wszechstronnie kulturę, polepszać warunki bytu ludzkiego. Jednocześnie układ ten przyczynił się do utrwalenia pokoju w Europie, gdyż Polska dzięki temu układowi przestała być raz na zawsze zarzewiem wojny na wschodzie Europy, przestała być imperialistyczną podpałką do wojny.

Układ polsko-radziecki dał bardzo wiele naszemu narodowi we wszystkich dziedzinach życia. Dzięki czemu tak się stać mogło? Mogło się tak stać dzięki potężnym siłom społecznym, stojącym za tym układem, dzięki walce klasy robotniczej i jej partii, które doprowadziły do takiego nowego układu stosunków między narodem radzieckim i polskim. Jeden układ, krótki traktat zawarty w niewielkiej ilości słów, a zmienił losy wielomilionowego narodu.

Apel Wiedeński to też układ. Układ między narodami i układ między ludźmi. Miliard ludzi przyrzeka sobie wzajemnie walczyć ile sił — o pokój, o zniszczenie broni atomowych i wodorowych.

NAD warszawską Starówką stada szarych, swojskich gołębi. Wola i miłość jednej starej kobiety potrafiła ocalić gołębie Warszawy. Wola i miłość miliarda ludzi potrafi na pewno ocalić świat. Gołębie Warszawy niosą otuchę i wiarę.

JAN SZELAĞ

List do polskich przyjaciół

FRANCIS CREMIEUX

Miliony Francuzów uczestniczyły w wiecach i zebraniach protestacyjnych, przeciwko remilitaryzacji Niemiec zach.

Paryż, 30 marca 1955

DRODZY PRZYJACIELE!

Senat francuski ratyfikował właśnie układy paryskie. Mendes-France otrzymał aprobatę Zgromadzenia Narodowego większością 27 głosów, jego następca Faure uzyskał teraz w Senacie większość 70 głosów. Wyobrażam sobie, drodzy przyjaciele polscy, że wiadomość ta mogła wśród was wywołać niepokój i uczucie zawodu. Uczucie to podzielam i ja, podobnie jak tysiące i miliony Francuzów, którzy nie szczędzili wysiłków, by Senat zdał sobie sprawę z opinii kraju i odrzucił układy paryskie.

Nie załamujemy przecież rąk i nie rozpaczamy, gdyż nie przyda się to na nic. Wypadkom i sytuacji trzeba spojrzeć prosto w oczy. My, francuscy

obrońcy pokoju, przegraliśmy tym razem bitwę. Sprawa polega jednak na tym, czy zdemobilizujemy się i rozejdziemy do domów, czy też podejmiemy walkę z nową energią. My zaś — możemy być o tym przekonani — nie zamierzamy ani demobilizować się, ani przystępować do odwrotu.

Jako jeden z milionów Francuzów, którzy aktywnie uczestniczyli w ogromnych wiecach, w lokalnych zgromadzeniach i w zebraniach sąsiedzkich; jako jeden z tych, którzy przez całe godziny stali przed budynkiem obradującego Senatu, zapewniam was, że nadal prowadzimy naszą walkę i że prowadzimy ją ze zdwojonym zapędem. Albowiem ci, którzy rozwijali w masach narodu wielką kampanię przeciw ratyfikacji — pragnęli zapobiec przyszłemu niebezpieczeństwu. Obecnie niebezpieczeństwa te stanęły przed wszystkimi ludźmi. Zagrożą one zarówno tym, co walczyli przeciw paryskim układom, jak i tym, co w walce tej nie brali udziału. W ostatnich latach francuscy obrońcy przegrywali przecież i inne bitwy. Dla wyjaśnienia i przykładu przypomnieć chciałbym, że zanim położyliśmy kres wojnie w Wietnamie, trzeba nam było zdobyć się na bardzo wiele cierpliwych wysiłków. Również i odrzucenie układów o EWO nie spadło nam z nieba.

Myliłbym się jednak, gdybym dostrzegł tylko — jak to powiada się we Francji — „słońce u własnych wrót”, gdybym mówił tylko o naszych, francuskich walkach. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zwycięstwa sił pokoju we Francji pozostawały zawsze w ścisłym związku ze wzrostem potęgi światowego obozu pokoju. Nie wyczekujemy oczywiście, by inni zapewni nam nasze własne zbawienie, ale ufność, jaką pokładamy w wyniku przyszłych naszych walk, płynie z ożywiającego nas poczucia, że w wysiłkach tych nie jesteśmy osamotnieni i że otaczająca nas rzeczywistość pozostaje bardzo odległa od pragnień podpalaczy świata.

Dlatego też Francuzi — zdając sobie w pełni sprawę z powagi sytuacji wytworzonej w wyniku ratyfikacji układów paryskich, nie zamierzają bynajmniej kapitulować. Trzeba, abyście o tym wiedzieli: blok przeciwników układów paryskich reprezentuje ogromną większość naszej opinii publicznej. Skład francuskiego Zgromadzenia Narodowego nie jest bynajmniej pełnym odzwierciedleniem układu sił politycznych kraju. Senatorzy zaś, którzy wybierani są w dwustopniowym głosowaniu i w wyborach o charakterze lokalnym — z całą pewnością nie wyrażają poglądów szerokiej opinii francuskiej. Fakt, że senatorzy nie są



WERBLE NA PLACACH ŚWIATA

ARTUR MIĘDZYRZECKI

PRZYWYKLISMY do depesz prasowych przynoszących opisy manifestacji na rzecz pokoju w wielu krajach świata. Przywykliśmy do felietonów na ten temat, do brzmienia słów p o k ó j w kilkunastu językach, do wielkich zgromadzeń, na których przemawiają delegaci pięciu kontynentów, przybysze zza mór i oceanów, ludzie o życzliwych oczach i szlachetnym głosie. Przywykliśmy do niebieskich proporców, do gołębi Picassa, do transparentów głoszących chwałę i wielkość przyjaźni. Hasło o ludzkości, która zwycięży wojnę, było najpopularniejszym chyba zwrotem, utrwalonym na ulicach naszych miast, na tysiącach plakatów, na szpaltach pism, w wielu publikacjach. Słusznie i często powiadał, że nasza wola pokoju jest owocem długich doświadczeń i żywej pamięci, że w pamięci tej mieści się dawna i bliska przeszłość narodu, wspólne dzieje ludzkie i ziemskie.

Niektórzy z nas wędrowali zresztą po świecie, byli i tacy, co odczytywali napis na sztandarze inwalidów wojennych Francji. „Raj znajduje się w cieniu szabli” — głosił napis. Chorażym był człowiek straszliwie okaleczony. Ludzie, którzy gromadzili się wokół sztandaru podczas mszy w paryskim Pałacu Inwalidów, byli bez rąk i nóg. Ich ciała nosiły ślady kul i ognia, ich niewidzące oczy spoglądały z mroku dawnego cierpienia, które odebrało im dotyk i wzrok, pozbawiło wszystkich niemal rzeczy i wzruszeń, jakie dostępne są człowiekowi. Ich los, równie wstrząsający jak cmentarze Verdun, urągał mądrości pokolenia i napisowi na starym sztandarze. Ci ludzie byli niegdyś w cieniu szabli i odnaleźli tam piekło. W cieniu pruskich bagników najpogodniejsze doliny stawały się ziemią męczeństwa. W cieniu hitlerowskich samolotów Madryt, Warszawa, Paryż i Coventry stawały się miastami pożarów. Ci, którzy pragną rzucić na stolice nasze nowe potworne cienie, nie liczą się zapewne ani z naszą pamięcią, ani z niezmierzłą żywotnością świata, w którym jesteśmy i będziemy. Pamię-

tają o niej przecież ci, którzy ocalają ziemię, weterani wyzwoleńczych bitew, męczennicy obozów faszyzmu, kobiety Europy, które zbiegały z dziećmi na rękach do przeciwnolotnych schronów, synowie i bracia zabitych, ludzie, którzy nie wierzą w Boga, i kapłani wszystkich kościołów. Kiedy mówimy, że pamiętamy — myślimy o nich i o nas. Kiedy mówimy, że pokój znajduje się w zasięgu naszych dłoni — myślimy o nich i o nas.

Podpisywaliśmy Apel Sztokholmski na budującej się MDM. Na podnoszącym się z ruin wojennych Starym Mieście domagaliśmy się pokoju w Wietnamie. Ze wszystkich rusztowań, szkół i muzeów naszego kraju wołał, na cały świat do ludzi dobrej woli, otwar-

tego umysłu i żarliwego serca. Wołał, nie towarzyszyło wszystkim naszym usiłowaniom, wyrzeczeniom i budowom. Kiedy na Kronice Filmowej oglądaliśmy pierwszą stal Częstochowy i Nowej Huty — słuchaliśmy słów speakerów, który mówił o wzrastającej sile pokoju. Kiedy po raz pierwszy oglądaliśmy przywrócone naszym miastom dzielnice — nazywaliśmy je dzielnicami pokoju. Kiedy dzięki pokojowej polityce Związku Radzieckiego i Ludowych Chin zakończyły się wojny w Korei i Wietnamie, kiedy udaremnione zostało użycie bomby atomowej w Azji — przypominaliśmy sobie dzień, w którym podpisywaliśmy wezwanie ze Sztokholmu. W każdy brzask wiosenny, w każdy wieczór jesieni myśl o pokoju nie

odstępował nas, jest treścią czasu, stanowi o widomym krajobrazie naszych ojczyustych okolic. Coraz bliższy staje się również otaczający nas świat; zmarłych wstała stolice Polski opiewali poeci znad brzegów Leny i znad strumieni Kordylierów, spojrzenia nasze przebieły kruchą ścianą egzotycznych nazw i zatrzymały się na gnębionych mieszkańcach Afryki, wyzwalających się mieszkańców Azji, nieustraszonych potomkach Bolívara i Mirandy w Ameryce Południowej.

Ze wszystkich zakątków świata dobiega nas głos ludzkości, która broniąc pokoju zapisuje bez wątpienia jedną z najpiękniejszych kart w swoich dziejach. Dzisiaj, kiedy uczeni odwołują się do wyobraźni, ażeby napomnieć i ostrzec, kiedy fantazja ludzka okazuje się zbyt uboga, by ogarnąć rozmiary przygotowywanej zbrodni, kiedy politycy o krótkiej pamięci i skarlałym sumieniu przystępują do uzbrojenia Wehrmachtu i wyposażać pragną armię nowych rozbojów w broń atomową — ludzkość ślubuje uczynić wszystko, by zapobiec straszliwej hekatombie miast i krajów, zapewnić pokojowe wykorzystanie energii atomowej. „Stawiać będziemy opór tym, którzy przygotowują wojnę atomową. Żądamy zniszczenia zapasów broni atomowej we wszystkich krajach i natychmiastowego wstrzymania jej produkcji”. Proste sformułowania Apelu Wiedeńskiego dzwonią jak werbel na wszystkich placach świata. Kładzie pod nimi podpis miliard gospodarzy globu, którzy zdecydowali o obliczu naszych i przyszłych lat.

Podpisujemy Apel i my, podpisujemy pod nim siłę naszej młodej wolności, czujny spokój słuszności i rozsądku, materialną i moralną potęgę obozu pokoju, socjalizmu i godności człowieka. Podpisujemy pod nim wszystkie najlepsze uczucia naszego serca, niezłomną wiarę w przyszłość ludzi i ziemi, w narody, które umieją karać zbrodnie, w ludzkość, która nie pozwoli się zamordować.



wybierani w głosowaniu powszechnym i że wskutek tego protesty społeczeństwa wywołują wśród nich mniejszy oddźwięk, bezpośrednio wpłynął zresztą na to, iż rząd otrzymał w Senacie znacznie większą większość głosów niż w Zgromadzeniu Narodowym.

Powiecie mi — być może — iż rozumowanie to jest słuszne, ale że fakty pozostają faktami, i że Senat ratyfikował układy. Tak, ale chciałbym, by dobiegł do was głos Francji prawdziwej, tej, która nie zrezygnowała z niczego i nie pozwoliła znieść się pięknym obietnicom premiera Faure'a.

Na sprawie tej pragnę zatrzymać się przez chwilę: są bowiem w naszym kraju i tacy ludzie, których zwiodły wywody Faure'a i Pinay'a. Nie uważamy przecież, że ludzie ci są na zawsze straceni. Wiemy, że wśród reakcyjnych senatorów egoistyczne interesy ich klasy wzięły górę nad interesami narodu i wiemy również, że wielu z nich głosowało za układami w imię „antykomunizmu” i nienawiści do ludu. Lecz spośród tych ludzi wielu było również takich, którzy wierzą w szczerą Faure'a mówiącego o rokowaniach i — powiedziałbym nawet więcej — zdecydowanie pragną rokowań i pokojowego współistnienia.

Zapytacie mnie: czyż nie znają oni ostrzeżeń rządu radzieckiego? Czyż nie

widzą, że wprowadzenie w życie układów paryskich stanowić będzie zerwanie sojuszu francusko-radzieckiego i że zarazem uniemożliwi ono pokojowe zjednoczenie Niemiec? Czyż nie widzą, że łont zapalony przez odwetowców Adenauera na 38 równoleżniku Europy spowodować może eksplozję; że podpisując układy paryskie państwa zachodnie przyspieszają wyścig zbrojeń, zmuszając tym samym kraje socjalizmu do podjęcia kroków dla zapewnienia swego bezpieczeństwa; czyż nie widzą oni wreszcie, że prowadzą niedorzeczną politykę deklarując, iż zmierzają do powszechnego rozbrojenia poprzez... uzbrojenie zachodnio-niemieckich militarystów?

A więc: nie, nie widzą tego. Fakty są oczywiste, ale oni pozostają jeszcze w stanie zaślepienia. Przede wszystkim powodowali się obawą, by nie rozbić koalicji atlantyckiej. Działające na nich naciski z zagranicy były niezwykle silne, atlantyckie metropolie nie przebiegały w środkach. Rządowi Faure'a udało się wpoić większości senatorów przekonanie, że jeśli układy paryskie zostałyby odrzucone lub zwrócone Zgromadzeniu z poprawkami — Francja byłaby wskutek tego izolowana i pozostawiona samej sobie. Głosowali więc, pełni rezygnacji, za układem, który wywołuje ich najgorsze obawy. Uchwycili się jak deski ra-

tunku uroczystych przyrzeczeń gabinetu, że szybko rozpoczną się rokowania czterech mocarstw i że uznany zostanie rząd Chin Ludowych.

Rząd Faure'a zmuszony był przyrzec to wszystko. W przeciwnym bowiem razie nic nie uchroniłoby go od ponownej debaty w Zgromadzeniu Narodowym, które, według powszechnie panującej opinii, odrzuciłoby układy, gdyby doszło do drugiej dyskusji. Fakty te pozostają niezmiennione, wrogość, jaką dla układów paryskich żywi kraj, nie uległa zmianie.

Opinia publiczna będzie też mogła skonstatować, czy rząd Faure'a uczyni cokolwiek, by wypełnić przyrzeczenia złożone senatorom dla pozyskania ich głosów. Już dzisiaj bowiem stwierdzić można, że odwetowcy podnoszą głos, już dzisiaj atlantyccy publicyści piszą, że spotkanie Czterech nastąpić może dopiero za wiele miesięcy. I już dzisiaj również zauważyć można niepokój tych, którzy zrezygnowali z protestu i głosowali w Senacie za ratyfikacją. Zwłaszcza że sprzeczności zarysowujące się w łonie francuskich partii burżuazyjnych pogłębiają się ciągle i że nie słabnie ogromny napór mas ludowych.

Bądźcie przekonani, polscy przyjaciele, że nie ustąpimy ani o krok. Nie mówię wam tego w moim tylko imieniu. Wasz korespondent ma we Fran-

cji miliony towarzyszy, którzy walczą o pokój. Wiem, co mówią moi towarzysze, a także ludzie wyrażający najróżniejsze polityczne opinie. Wierzę im: skapitulowała setka senatorów, ale nie skapitulowali francuscy patrioci. Naród, jego klasa robotnicza, jego Partia Komunistyczna są niezwyciężone. Ostatnie słowo wypowie naród.

F. Guinier

...całymi godzinami grupy paryżan oczekiwali przed gmachem francuskiego senatu, gdzie ważyły się losy układów





MAPA KTÓREJ NIE MA W ATLASACH

MOŻNA by strzałek na mapie umieścić znacznie więcej. Ale i te, które na niej widnieją, a które dotyczą niektórych najważniejszych artykułów naszej wymiany z ZSRR, mówią wyraźnie: Związek Radziecki jest dostawcą takich surowców i urządzeń, bez których nie do pomyslenia byłby rozwój naszego przemysłu, i równocześnie — odbiorcą wielu naszych towarów. Nic dziwnego zatem, że przy rozszerzającej się stale wymianie handlowej Polski z różnymi krajami świata Związek Radziecki jest i pozostanie głównym naszym kontrahentem w stosunkach ekonomicznych z zagranicą.

Byłoby jednak grubym uproszczeniem, gdybyśmy chcieli widzieć naszą wymianę gospodarczą z ZSRR tylko w stale rosnących liczbach i nazwach wymienianych towarów. Są bowiem takie cechy w stosunkach handlowych Polski i Związku Radzieckiego, które nie dadzą się ująć w tabele, mapki czy schematy, a które mają istotne znaczenie dla rozwoju naszego kraju.

Pierwsza z tych cech — to prawdziwie braterska, szczerą chęć pomocy, którą odczuwaliśmy na przestrzeni minionego dziesięciolecia nieprzerwanie: od pierwszych transportów pszenicy dla dopiero co wyzwolonej stolicy — do stosu atomowego, który stanie u nas wkrótce dzięki radzieckiej nauce. Ów życzliwy, przyjazny stosunek ludzi Kraju Rad przejawia się w rzeczach wiel-

kich i drobnych — w zginiataczu dla huty „Bobrek“, który przysłały radzieckie zakłady odsuwając na drugi plan zamówienia hut w ZSRR; w precyzyjnej wprost punktualności radzieckich dostaw sprzętu na place budowy Kędzierzyna, Nowej Huty czy Żerania; w serdecznych listach, jakie piszą radzieccy robotnicy do swych polskich towarzyszy.

Druga cecha — to bezinteresowne przekazywanie nam doświadczeń, umiejętności nabytych przez specjalistów radzieckich w ciągu wielu lat. Kto współpracował kiedykolwiek z fachowcami radzieckimi ten wie, że nie ograniczają oni czasu ani zakresu swej pracy, że gotowi są nieść pomoc i służyć radą o każdej porze i na każdym miejscu. Kto korzystał z radzieckiej dokumentacji technicznej ten może łatwo wyliczyć, ile wysiłku i trudu kosztowałoby nas opracowanie tych niezliczonych planów, rysunków czy tabel, które dostajemy już gotowe i sprawdzone. Kto stykał się z radzieckimi nowatorami i uczonymi, przyjeżdżającymi tak często do Polski, ten dostrzegł, z jaką powagą odnoszą się oni do wszystkich trudności czy kłopotów, w których szukamy ich pomocy czy rady. Tak więc na naszej mapce — obok linii narysowanych i tych, które by można jeszcze nanieść — trzeba sobie wyobrazić tysiące niewidzialnych a trwałych nici,

10 LAT TEMU i DZIŚ

EDMUND OSMANCZYK

PAMIĘTAM, że dzień był nagrany słońcem, a powietrze drżało bez przerwy wybuchami pocisków, grzmiotem toczących się czołgów, warkotem samolotów. Świeża wiosenna zieleń matowała pod ciężarem pyłu, który wzbijał się nad linią frontu. Cały dzień wędrowaliśmy z jednego odcinka na drugi, w mundurach, lecz bez broni, trzymając w pogotowiu notes i ołówki. Dwaj polscy wojenni korespondenci, przydzieleni do oddziałów Armii Czerwonej, zdobywających Berlin. Przeprowadziliśmy się przez Szprewę na promach wraz z czołgami, a gdy witał nas obstrzał — za każdym razem powtarzało się to samo — zasłaniali nas swoim ciałem dopiero co poznani żołnierze.

Na jednym z przyczółków artylerzyści ustawiający działo uczcili nasze polskie mundury komendą:

— Pierwszy pocisk za Warszawę!

Żołnierze: Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Gruzini, Tatarzy, Uzbeki ściskali nam ręce, częstowali tytoniem i powtarzali zawołanie tamtych dni:

— Dobiemy faszystowskiego gada w jego gnieździe.

I dodawali słowa przeznaczone tylko dla nas:

— Polska już teraz na zawsze będzie wolna.

Wieczorem dowódca odcinka kazał sprowadzić nas na swoją kwatere, o sto metrów odległą od linii frontu. Stara czynszowa kamienica, na parterze od podwórza jeden wielki pokój, w którym ocalały szyby. Tam usadzono nas — Mariana Brandysa i mnie — przy dużym stole, byśmy wygodnie mogli pisać. Z wyrzekaającego na podwórku dynama dostaliśmy światło: jarzącą się bladoróżową żarówkę. Z kuchni przyniesiono nam dwie misy gorącej wody.

— Wymoczcie nogi, lepiej będziecie pisać.

Potem przyszedł dowódca odcinka, z kilkoma oficerami usiedli w drugim końcu stołu i przeglądali meldunki. W pewnej chwili usłyszeliśmy szeptem wypowiedziane zlecenie:

— Wydać extra wszystkim po sto gramów. Nam tu też.

Wnieśli talerze i szklanki.

— Przerwijcie robotę — powiedział dowódca — trzeba coś zjeść, a i wypić, bo dobre nowiny.

Z kartek czytał meldunki z frontu:

— „Wojska radzieckie walczą na przedmieściach Berlina... To my! „Pod Szczecinem sforsowały Odrę oddziały radzieckie i polskie i od północy kierują się na Berlin! Zamknijmy Berlin z wszystkich stron! „Na południu zdobyliśmy Goerlitz“.

— Goerlitz to Zgorzelec — wyjaśniłem. — Miasto odtąd graniczne nad Nysą Łużycką.

— Słusznie. Wiadomo, że Odra i Nysa Łużycka będą granicą Ludowej Polski, z którą dziś...

Dowódca przerwał, czekając, aż przed każdym ustawiono szklanki z przezroczystym płynem. Potem wstał i trzymając w dłoni szklankę powiedział:

— W Moskwie podpisany został sojusz polsko-radziecki. Wypijmy więc za radziecko-polską przyjaźń! Za nasze ojczyzny! Za Stalina!

Poderwaliśmy się z krzeseł, rozpryskując wodę z misek i szeroko otworzywszy gardła, łykaliśmy gorący strumień 100 gramów spirytusu...

Za oknami grzmiała bitwa o Berlin. Wokół nas była serdeczność, przyjaźń, braterstwo.

I Marian, i ja byliśmy od niewiele dni — pierwszy raz w życiu — wśród ludzi radzieckich i to w warunkach szczególnych, kiedy co chwila zagrożone jest życie ludzkie. „Prawdziwych przyjaciół — powiada stare polskie przysłowie — poznaje się w biedzie“. Przypomniał to powiedzenie Marian, kiedy na pierwszym przyczółku nad Szprewą żołnierze zasłonili nas własnym ciałem od obstrzału. Teraz ściskając dłonie gwardyjców, znaleźliśmy tylko kilka słów odpowiedzi:

— Przyjaźń na złe i na dobre czasy!

Coż można było wtedy więcej powiedzieć?

Poprzez lunę bijącą od Berlina trudno było dojrzeć, jak ten dzień 21 kwietnia 1945 r. zmienił będzie w przyszłości układ sił w Europie, zawartym w tym dniu sojuszem polsko-radzieckim; jak w zdobytym w tym dniu Zgorzelcu w pięć lat później republikańskie sztandary Niemiec demokratycznych pozdrowią polskie sztandary na znak, że granica na Odrze i Nysie Łużyckiej jest granicą pokoju i przyjaźni.

Tego wszystkiego nie mogliśmy dojrzeć wtedy, ani następnego dnia, gdy czytaliśmy we frontowej gazecie pełny tekst Układu o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej polsko-radzieckiej i mowę Stalina, który stwierdzał:

„Lecz to nie wyczerpuje sprawy. Układ niniejszy ma ponadto wielkie znaczenie międzynarodowe.

Dopóki nie było przymierza między naszymi krajami, Niemcy mogły wysyskiwać brak jednolitego frontu między nami, mogły przeciwstawiać Polskę Związkowi

Radzieckiemu i odwrotnie i przez to zwalczać je w pojedynkę. Sprawa zmieniła się gruntownie, kiedy powstało przymierze między naszymi krajami. Obecnie nasze kraje nie mogą już być przeciwstawiane sobie wzajemnie. Obecnie istnieje między naszymi krajami od Bałtyku do Karpat jednolity front przeciwko wspólnemu wrogowi, przeciwko imperializmowi niemieckiemu. Obecnie można z przekonaniem powiedzieć, że agresji niemieckiej na wschodzie zagrodzono drogę. Nie ulega wątpliwości, że jeśli ta zaporą od wschodu zostanie uzupełniona zaporą od zachodu, tzn. przymierzem naszych krajów z naszymi sprzymierzeńcami na zachodzie, można śmiało powiedzieć, że agresja niemiecka zostanie okiełznana i nie łatwo jej będzie się rozpętać“.

Wydawało się nam to wszystko tak oczywiste, że nie zauważyliśmy wtedy w wypowiedzi Stalina trybu warunkowego — „jeśli ta zaporą od wschodu zostanie uzupełniona zaporą od zachodu...“ Jakże mogłoby być inaczej. W dwa tygodnie później oglądaliśmy nad Łabą braterstwo żołnierzy radzieckich i polskich z amerykańskimi i brytyjskimi. Radość zwycięstwa umacniała — tak się wydawało — przyjaźń między żołnierzami Wschodu i Zachodu, którzy się spotkali na gruzach faszystowskiej III Rzeszy. Ani Grisza, ani Jan, ani Jack, ani George wiwatując nad Łabą, nie wiedzieli, że już premier Churchill zbiera broń pohitlerowską dla nowego Wehrmachtu, a wysłannicy Hoovera, Dullesa, Spellmana organizują pierwsze pogotowie ratunkowe dla wojennych zbrodniarzy.

Teraz, w dziesięć zaledwie lat później, wiemy już, że „zapora od zachodu“ nie powstała. Imperializm niemiecki w sojuszu z imperializmem amerykańskim zbudował sobie nowe — ostatnie — koczowisko między Łabą a Renem. Niemniej „obecnie — powtórzmy słowa Stalina — można z przekonaniem powiedzieć, że agresji niemieckiej na wschodzie zagrodzono drogę“. Fundamentem pokoju w Europie stała się „zapora wschodnia“, którą rozbudowaliśmy przez te dziesięć lat, a której kamieniem węgielnym jest sojusz polsko-radziecki z 21 kwietnia 1945 r.

Znów wróć do wspomnień. W lipcu 1945 r. byłem jako korespondent na konferencji poczdamskiej i raz po raz atakowany byłem przez niektórych amerykańskich i angielskich korespondentów, że Polska prowadzi „szaleńczą politykę“. Rozumowanie było następujące:

„Z Rosjanami nigdy się szczerze nie pogodzicie, wiecie to dobrze z przeszłości. Niemcy nigdy się z wami nie pogodzą na granicy Odry i Nysy. Odstąpcie od tej granicy — to jedyny dla was ratunek“.

Trudno było dyskutować z ludźmi, którzy znają tylko politykę wygrywania nienawiści i sporów między narodami. Pozostawał tylko jeden właściwie argument:

— Pogadamy za dziesięć lat!

Spotkałem jednego z mych rozmówców w roku 1954 w Genewie. Przypomniałem mu tamtą rozmowę i spytałem, czy liczy jeszcze na polsko-radzieckie spory i czy granicę na Odrze i Nysie uważa dalej za beczkę prochu? Odpowiedź była klasyczna:

— Idziecie za to do komunizmu!

Roześmiałem się, bo brzmiało to jak „idziecie za to do piekła!“, a przetłumaczone na język bezspornych, sprawdzalnych co dzień faktów znaczyło przecież, że idziemy do pokoju i przyjaźni z wszystkimi narodami. A tego nam „niebo“ kapitalizmu nigdy nie dało i nigdy dać nie mogło.

W kilka miesięcy później byłem na Konferencji Moskiewskiej, która określiła wyraźnie postawę Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowych wobec wszelkich prób „rozpętania“ na nowo imperialistów niemieckich.

Któregoś dnia Konferencji byłem na przyjęciu wydanym przez ministra Mołotowa. W pewnej chwili usłyszałem toast za przyjaźń polsko-radziecką i zobaczyłem delegata Polski, Premiera Józefa Cyrankiewicza, jak ścisła wyciągające się doń dłonie Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, jak z kolei podchodzi doń przedstawiciel Chin Ludowych, Czechosłowacji, NRD, nie wymieniając wszystkich. Przypomniał mi się wtedy ów wieczór 21 kwietnia 1945. Jakże od tamtego dnia poszerzył się ten krąg serdeczności, przyjaźni, braterstwa dla nas wszystkich, radzieckich i polskich ludzi. Uświadomiłem sobie wtedy dopiero naprawdę całą historyczną wagę naszego sojuszu.

Przecież — to dla nas Polaków było wyjście z biedniackiej samotności, wreszcie do sojuszu z prawdziwymi przyjaciółmi. A jednocześnie — to dla ludzi radzieckich oznaczało, że na zachód od granic ich ojczyzny nie będzie już „sanitarnych kordonów“, że rozpada się w proch kapitalistyczna izolacja, że wreszcie zachodnia granica Związku Radzieckiego łączyć będzie narody, dając przykład innym narodom.

W pięć lat później to samo nastąpiło na wschodniej granicy Kraju Rad, gdy powstały Chiny Ludowe. I to samo nastąpiło na zachodniej granicy Polski, gdy powstała Niemiecka Republika Demokratyczna.

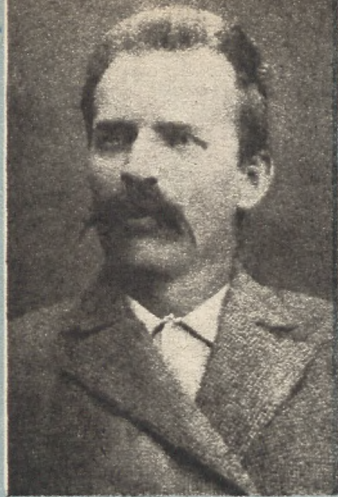
Dla całego świata, dla wszystkich narodów powstał konkretny, sprawdzalny co dzień wzór pokojowych, przyjaznych stosunków między wolnymi, niepodległymi narodami. Jednocześnie zbudowana została wspólna siła, która strzeże czujnie pokoju Europy i Azji.

Zrozumiałe więc jest, że nie tylko w Polsce i w Związku Radzieckim, ale w całym naszym obozie pokoju obchodzimy uroczystości rocznicę 21 kwietnia 1945, dnia, w którym powstało pierwsze ogniwo tej wspólnej potężnej dziś siły, która utrwała pokój świata przyjaźnią między narodami i wzajemną pomocą narodów.



MOSKWA, PLAC CZERWONY

rys. Paul Hogarth



Jan Promiński. Zdjęcie pochodzi z roku 1897, z drogi na miejsce zesłania.

PRZYJACIEL Z ZESŁANIA

Opracował: JÓZEF KOZŁOWSKI



Dom przy Złotej 8 w Łodzi, gdzie mieszkał Promiński

CZYTAJĄC zbiór artykułów, wspomnień i fragmentów literackich „O Leninie”, wydany w ubiegłym roku przez Książkę i Wiedzę, zainteresowała mnie wzmianka o tym, że wraz z Leninem i Krupską na zesłaniu syberyjskim we wsi Szuszenskoje, w latach 1897–1900, przebywał również polski socjaldemokrata, kapelusznik Promiński z Łodzi wraz z liczną rodziną. Kim był Promiński? Postanowiłem zebrać bliższe dane o tym polskim współtowarzyszu zesłania Lenina. Rozpoczęła się moja wędrówka po archiwach, bibliotekach, odwiedziły weteranów ruchu robotniczego...

W Wydziale Historii Partii KC PZPR znajduje się pismo „Z pola walki” (Nr 16, Moskwa — Leningrad, 1934 r.). Z zamieszczonego tam artykułu łódzkiego socjaldemokraty B. Szmida dowiedziałem się, że już w okresie przygotowań do I Zjazdu Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego (marzec 1894 r.) „do kierowniczych członków organizacji łódzkiej, którzy tworzyli Komitet Miejskowy”, należał również robotnik Jan Promiński.

A więc był jednym z założycieli i działaczy SDKP w Łodzi!

Z kolei sięgam do pism socjaldemokratycznych z tego okresu. W emigracyjnym „Przedświcie” (Nr 4 z czerwca 1897 r.) znajduję bliższe dane, dotyczące osoby Promińskiego oraz wiadomości o jego uwięzieniu.

Promiński aresztowany został 18 października 1894 roku w swoim mieszkaniu w Łodzi przy ul. Złotej 8. W czasie rewizji, którą kierował osobiście szef żandarmerii łódzkiej, pułkownik Hochfeld, znaleziono u niego numery socjaldemokratycznej „Sprawy Robotniczej” — pisma wydawanego w Paryżu przez J. Marchlewskiego i R. Luksemburg. Aresztowanego przewieziono do więzienia gubernialnego w Piotrkowie. Dla wymuszenia zeznań biło go i głodowano.

Po przesłuchaniu dwuletnim śledztwie, w listopadzie 1896 r. Promiński skazany zostaje na trzy lata zesłania do Syberii wschodniej. W lutym roku 1897 odprawiono go na zesłanie.

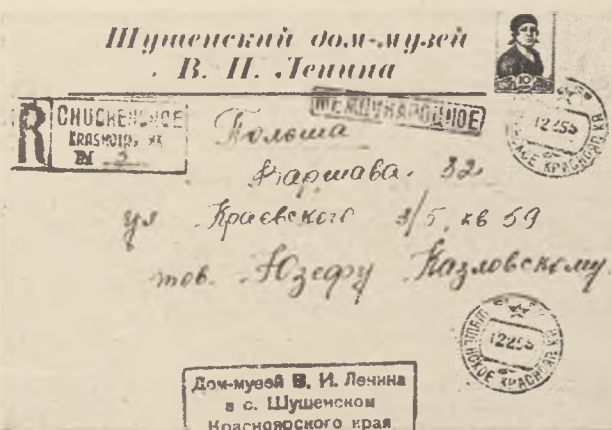
W zbiorach Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łodzi, w tzw. „Księgach wieczystych” ludności stałej miasta Łodzi, w tomie Nr 914/924 na str. 74 znajduje się następujący zapis:

„Promiński Jan, syn Łukasza i Marianny Sierocińskiej ur. 25 listopada 1859 r. W Budziszewicach w powiecie rawskim, żonaty, z włościan, wyznania katolickiego, robotnik”. W rubryce uwag wpisano: „Za zbrodnie stanu zesłany pod jawny nadzór policji na Syberię wschodnią na okres trzech lat...”

Tak, robotnik łódzki, Jan Promiński z rodziną, która podążyła za nim na zesłanie, znaleźli się w Szuszenskoje w Krasnojarskim Kraju.

Mniej więcej w tym samym czasie co Promiński do Szuszenskoje przybył inny zesłaniec polityczny — Włodzimierz Iljicz Ulianow. Wspólna niedola zesłańców, spójnia ideowa zbliżyła obu rewolucjonistów. Między nimi zawiązała się nić serdecznej przyjaźni.

Jak wyrażała się ta przyjaźń obu zesłańców? Napi-



Dom-muzeum W. I. Lenina we wsi Szuszenskoje nadesłał nam materiały o pobycie Promińskiego.

sałem w tej sprawie do Muzeum Lenina w Szuszenskoje, gdzie — jak liczyłem — powinny być materiały o przebywaniu Lenina, Krupskiej i Promińskich.

W niespełna dwa miesiące przyszła odpowiedź: otrzymałem odpisy listów Lenina, wspomnień N. Krupskiej i chłopów szuszeńskich. Widać z nich, jak bliskim i sympatycznym człowiekiem był ten prosty robotnik łódzki Leninowi i Krupskiej.

N. K. Krupka — „Wspomnienia o Leninie”. Część I i II. Wydawnictwo Partyjne, 1933 rok, str. 27.

„Wśród zesłańców w Szuszenskoje było tylko dwóch robotników: Polak, łódzki socjaldemokrata — kapelusznik Promiński z żoną i 6-giem dziećmi, oraz robotnik Zakładów Putilowskich — Oskar Engberg — narodowości fińskiej. Obaj bardzo dobrzy towarzysze. Promiński był człowiekiem spokojnym, zrównoważonym i bardzo twardym. Niewiele czytał i niewiele wiedział, lecz za to posiadał doskonale rozwinięty instynkt klasowy. Do swojej wierzącej jeszcze wtedy żony odnosił się pogodnie, z lekką ironią. Promiński pięknie śpiewał polskie pieśni rewolucyjne: „Ludu roboczy, poznaj swą siłę”, „Pierwszy maj” i szereg innych. Dzieci wtórowały mu, do chóru przyłączał się również Włodzimierz Iljicz, który bardzo chętnie i wiele śpiewał na Syberii. Śpiewał Promiński również rosyjskie pieśni rewolucyjne, których nauczył go Włodzimierz Iljicz. Promiński zamierzał powrócić z powrotem na robotę do Polski i ubił niezliczoną ilość zajęcy, aby przygotować futerka na kożuszki dla dzieci. Ale nie zdołał dostać się do Polski. Z rodziną przeniósł się jedynie bliżej, do Krasnojarska, gdzie pracował na kolei. Dzieci wyrosły; sam on stał się komunistą, komunistką stała się pani Promińska, komunistami stały się dzieci. Jeden z synów poległ na wojnie, drugi omal nie zginął w czasie wojny domowej, obecnie przebywa w Cynie. Dopiero w roku 1923 wybrał się Promiński do Polski, ale po drodze umarł na tyfus płamisty...”

N. K. Krupka — „Wspomnienia o Leninie”, część I i II. Wydawnictwo Partyjne, 1933 r. str. 29–30.

„Pamiętam, jak uczciliśmy pierwszy Maja. Z rana przyszedł do nas Promiński. Wyglądał szczególnie odświeżenie, nałożył czysty kołnierzyk i cały błyszczał jak nowiutki miedziak. Nam też bardzo szybko udzielił się jego nastrój i w trójkę poszliśmy do Engberga...”

Oskara wzruszyło nasze przyjście. Rozgościł się w jego izbie i podjęli zgodny śpiew:

Nadszedł jasny dzień majowy,
Brzmij piosenka, w górę głowy...

Zaśpiewaliśmy po rosyjsku, zaśpiewaliśmy tę pieśń po polsku i postanowiliśmy po obiedzie wyjść w pole, obchodzić Święto Majowe! Jak postanowiliśmy, tak też zrobiliśmy.

W polu było nas więcej, już 6 osób, bowiem Promiński wziął ze sobą dwóch synków... Gdy znaleźliśmy się w polu na suchym pagórku, Promiński zatrzymał się, wyjął z kieszeni czerwoną chustkę, rozłożył ją na ziemi i stanął na rękach. Dzieci zapiszczały z zachwytem. Wieczorem wszyscy zebrali się u nas i znów śpiewali. Przyszła też żona Promińskiego. Do chóru przyłączyła się również moja matka i Pasza. A wieczorem z Iljiczem jakoś długo nie mogliśmy zasnąć, marzyliśmy o potężnych demonstracjach robotniczych, w których weźmiemy kiedyś udział...

W. I. LENIN. LISTY DO KREWNYCH. WYDAWNICTWO PARTYJNE, 1934 ROK

„Zamierzamy wybrać się do Minusińska, kupić coś niecoś — lampę, niektóre rzeczy na zimę itd., zamierzamy zjechać razem z Promińskim...” (17.8.1897).

„Polowaniem zajmuję się w dalszym ciągu... Chodzimy najczęściej razem z Promińskim...” (12.10.1897).

„Jeżeli są u nas jeszcze jakieś książki dla dzieci z obrazkami, to niech N(adieżda) K(onstantinowna) przywiezie dla dzieci Promińskiego...” (7.2.1898).

„Ona (Anna Iljicznica — siostra Lenina) pisze, że książka Amicisa jest dla dzieci. Nie wiedziałem o tym, ale książka dziecięca też będzie tu pożyteczna, gdyż dzieci Promińskiego nie mają nic do czytania. Myślałem nawet zrobić coś takiego: zaprenumerować dla siebie „Niwę”. Dzieciom Promińskiego da to wiele radości (co tydzień obrazki), a mnie — pełny zbiór dzieł Turgieniewa...” (24.2.1898).

„Na Wołodę nakłada się obowiązek kupienia dla siebie w Krasnojarsku 2 czapek, nabycia dla siebie płótna na koszulę, kupienia kożucha, tyżew itd. Prosiłem też, aby kupił na bluzkę dla córki Promińskiego, ale ponieważ Wołodia udał się do mamy z zapytaniem, ile „funtów” potrzeba kupić na bluzkę, został zwolniony od tego ciężkiego obowiązku...” (11.9.1898).

„W ogóle (Włodzimierz Iljicz) kupił wszystko, co należało, nawet zabawki dla dzieci Promińskiego...” (9.10.1898).

„Jesienią... kończy się termin (zesłania — przyp. J.K.) Promińskiego i staje przed nimi teraz problem, czy powiozą ich na koszt państwa, czy też nie, na własny koszt nie podobna im wyjechać, rodzina duża — 8 osób. Przez ten czas przecież tak przyzwyczailiśmy się do naszych towarzyszy szuszeńskich, że jeżeli któregoś dnia z jakichś powodów nie przychodzi Oskar czy Promiński, to tak, jakby nam czegoś brakowało...” (3.7.1898).

ZE WSPOMNIENI CHŁOPÓW WSI SZUSZENSKOJE, BRACI FILIPA JAKOWLEWICZA I IWANA JAKOWLEWICZA KAREWICZÓW

„Na kwaterze u nas mieszkał zesłaniec polityczny Promiński, narodowości polskiej, miał rodzinę. Dzieci Promińskiego pamiętam: Władysława, Leopolda i Bronię. Leopold był dorosłym młodym człowiekiem, kawalerem, naleźycie wykształconym.

Do Promińskich często przychodził zesłaniec Oskar Aleksandrowicz; nie był on żonaty, lecz nie pamiętam, u kogo mieszkał na kwaterze. Często przychodził zesłaniec Włodzimierz Iljicz Ulianow, ten był żonaty, żona jego nazywała się Nadieżda Konstantinowna...” (F. J. Karewicz).

„Na kwaterze u nas, we wsi Szuszenskoje, stał zesłaniec polityczny Promiński. Łączyła go wielka przyjaźń z Włodzimierzem Iljiczem i bardzo często odwiedzał go w jego mieszkaniu. Również Włodzimierz Iljicz nierzadko odwiedzał Promińskiego.

Włodzimierz Iljicz kochał dzieci, z którymi pozostawał w wielkiej przyjaźni. Promiński miał ich pięcioro: Leopolda, Bronię, Kazika, Asię i najmniejszą Zosię. Dzieci Promińskiego chodziły do Włodzimierza Iljicza do mieszkania, niekiedy chodziłem i ja z nimi...” (I. J. Karewicz).

Chata w Szuszenskoje na Syberii, w której mieszkali: Lenin, Nadieżda Krupka i jej matka. Często gościem bywał tu zesłaniec z Łodzi — Jan Promiński.



DWA PRZYKŁADY

J. O. NIEMCZYŃSKI

radziecki publicysta i tłumacz

SPOŚRÓD wielu faktów, świadczących o rozwoju wymiany kulturalnej Polski i ZSRR, chciałbym wybrać dwa i na ich przykładzie pokazać Czytelnikom „Świata“, w jakim stopniu pomaga ona nam we wspólnej walce o pokój.

* * *

Imię Wojciecha Żukrowskiego, który odbył prawdziwie bohaterską podróż przez terytorium walczącego Wietnamu, znane jest dziś milionom ludzi radzieckich. Jego notatki z podróży po Wietnamie były zamieszczone w prasie radzieckiej (ściślej: najpierw w tygodniku „Ogoniok“) równocześnie z opublikowaniem w pismach polskich. Zjawisko to, nie do pomyślenia w warunkach kapitalistycznej konkurencji, zostało przez obie strony przyjęte z jednakiym zadowoleniem: dziennik „Życie Warszawy“ natychmiast poinformował swych czytelników o za-

mieszczeniu reportażu Żukrowskiego w „Ogonku“, a biuletyn tego tygodnika doniósł o opublikowaniu ich w „Życiu Warszawy“.

Jak mi się wydaje, Czytelników „Świata“ może zainteresować droga do tego rodzaju współpracy dziennikarskiej. Spróbuję krótko o tym opowiedzieć.

Gdyśmy się dowiedzieli, że W. Żukrowski i A. Kobzdej znajdują się w Wietnamie, spróbowaliśmy się skontaktować z nimi. Ale trudności ich podróży odbiły się i na łączności. Dopiero po przyjeździe obu podróżników do Moskwy doszło do pierwszego spotkania. Zgodnie z naszymi przypuszczeniami, Żukrowski przyjął propozycję współpracy. I dotrzymał słowa: już po paru dniach przysłał pierwsze kartki swego reportażu.

Odtąd współpraca stawiała się coraz ściślejsza. Niech mi pisarz wybaczy niedyskrecję — ale muszę powiedzieć, że Żukrowski pomrukiwał nieraz gniewnie na nocne telefony: wymagane tempo pisania nie zawsze było łatwe dla zmęczonego ciężką podróżą pisarza. Ale cóż robić? Prasa ma swoje prawa...

Exemplarze „Ogonka“ z reportażami Żukrowskiego trafiły między innymi do rąk dziennikarzy, którzy z całego świata zjechali się na konferencję do Genewy. Reportaże te — potwierdzili to w listach wietnamscy przyjaciele Żukrowskiego — wywarły bardzo silne wrażenie. Numery naszego tygodnika z reportażami z Wietnamu rozchwytywano w genewskim „Maison de la Presse“, a wiele zachodnioeuropejskich pism — belgijskich, niemieckich, holenderskich i innych — przedrukowywało od razu te notatki z podróży.

Należy też stwierdzić, że szybkie opublikowanie wietnamskich reportażu w prasie polskiej i radzieckiej w dużym stopniu pomogło delegacji Wietnamskiej Republiki Demokratycznej w jej staraniach o rozpowszechnienie prawdy o bohaterskim, walczącym naródzie wietnamskim. Warto też dodać przy okazji, że Żukrowskiego „List do podatnika francuskiego“, opublikowany w „Literaturnej Gazecie“, wywołał głośne echa na Zachodzie, nie mówiąc o wrażeniu, jakie wywarł na setkach tysięcy radzieckich czytelników.

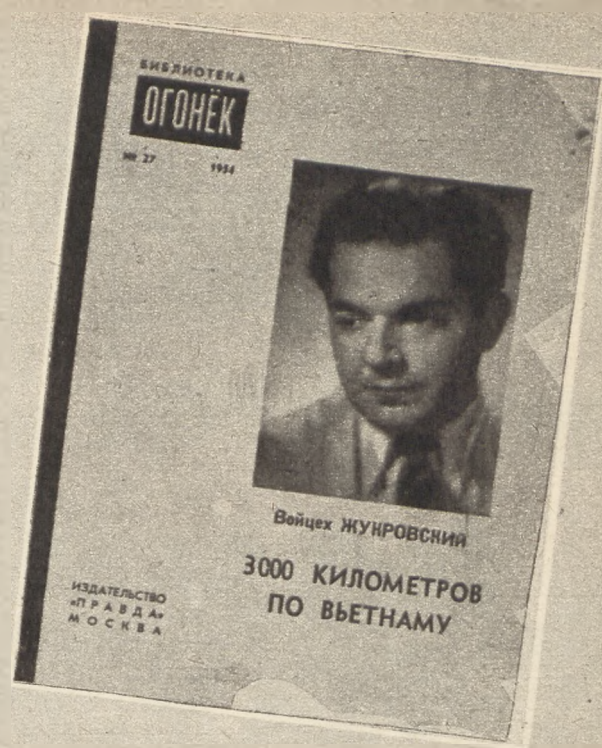
Artykuły i reportaże Żukrowskiego zamieszczały wiele innych radzieckich pism: „Komsomolska Prawda“, „Krasnaja Zwiezda“, „Pionierska Prawda“, „Rabotnica“ i inne. Nakład tych pism jest tak duży, iż można powiedzieć, że relacje polskiego pisarza z Wietnamu dotarły do każdego człowieka radzieckiego. O wrażeniu, jakie wywarły u nas wietnamskie reportaże Żukrowskiego, najlepiej świadczy fakt następujący: jego książka „3000 kilometrów po Wietnamie“, wydana nakładem „Prawdy“ w 150 tysiącach egzemplarzy, rozszła się w ciągu... godziny.

W czasie uroczystości z okazji 300-lecia połączenia Ukrainy z Rosją Wojciech Żukrowski przyjechał do Moskwy jako członek polskiej delegacji. Na przyjęciu w redakcji „Ogonka“ pisarz dowiedział się między innymi, że w przygotowaniu jest wydanie niektórych jego książek w ZSRR.

* * *

Opowiadano mi, że kiedy w „Ogonku“ pokazały się pierwsze reportaże Edmunda Osmańczyka z Konferencji Genewskiej, niektórzy dziennikarze zachodni wyrażali zdanie, że Osmańczyk jest „moskiewskim publicystą“. Autorami tej „kaczki“ byli oczywiście dziennikarze amerykańscy: w ich mentalności wilczej konkurencji nie mogło się pomieścić, że reporter może obsługiwać pisma innego kraju, nie mogli po prostu pojąć naszej zasady współdziałania w imię wspólnej walki o pokój.

Współpraca nasza z Osmańczykiem nawiąza-



Sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy tej książeczki znikło z półek księgarskich w ZSRR w ciągu jednej godziny.

ła się równie szybko jak z Żukrowskim. Nie bacząc na duże zobowiązania w stosunku do Polskiego Radia i polskich pism, Edmund Osmańczyk natychmiast przyjął propozycję przysyłania materiałów dla naszej prasy.

Pragnęliśmy, aby na łamach naszych pism — obok relacji czołowych radzieckich publicystów międzynarodowych, delegowanych do Genewy, jak Żukowa, Płyszewskiego, Rassadina, Gribaczowa i innych — pojawiały się korespondencje naszych przyjaciół z krajów demokracji ludowej i postępowych dziennikarzy Zachodu.

I ta współpraca — wzajemna zresztą — przyniosła określoną korzyść: czytelnicy radzieccy i polscy uzyskali pełniejszą relację z wydarzeń, odbywających się w Genewie. A atmosfera przyjemnego współdziałania przyczyniła się do dalszego zbliżenia naszych narodów.

Reportaże Osmańczyka, które ukazały się w „Ogonku“, a potem i w „Literaturnej Gazecie“, skupiały na sobie żywe zainteresowanie milionów radzieckich czytelników. Osmańczyk umie nadać własną barwę swoim publikacjom; można to było dostrzec również w jego artykułach o Konferencji Moskiewskiej.

* * *

Nasze współdziałanie w imię wspólnych celów będzie niewątpliwie krzepło i rozszerzało się z każdym dniem. Świadectwem tego jest rosnąca liczba współpracujących z sobą uczonych, artystów, pisarzy, racjonalizatorów, no i dziennikarzy Polski i Związku Radzieckiego, nasza codzienna wspólna praca nad umocnieniem sił naszego obozu pokoju i socjalizmu.

Edmunda Osmańczyka (drugi od lewej) podejmowała redakcja tygodnika „Ogoniok“ jak dobrego przyjaciela. Na zdjęciu trzeci od lewej — autor artykułu J. O. Niemczyński.



WŁODZIMIERZ ZAMIATIN

ŻOŁNIERZ RADZIECKI IDZIE ULICAMI WARSZAWY

Swit. Syreny buczą.

Wiele dymem.
Ludzie wprowadzają się do domostw.
Tu byłem w czterdziestym piątym

w zimę
Wśród ruin, sterczących nieruchomo.
Szedłem do Warszawy aż z Tambowa,
Z ognia w ogień,

z bitwy w nową bitwę...
Tu straciłem druha w tej surowej
Walce

na ulicy, którą idę.
Kroczę znowu śladem wojny krwawej.
Nic, że pułk mój

do cywila poszedł!
Chwilę tamtą, kiedy brał Warszawę,
Dziś

utrwała medal, który noszę.
Oto jest

stolicy mowa bliska,
Dzwonne bruki, głośny oddech żywych,
Przestrzeń ulic w promienistych błyskach
I natchniona muzyka

porywów:
Tę muzykę sercu słuchać miło,
Bo pieśń głośnie
śpiewa las rusztowań.

Pręży się ku niebu z młodą siłą
Każdy świeży gmach
Warszawy nowej.

Ciągnie się gdzieś jasność
gwiazdolita,
Szczęście wywalczone,
dnie w spokoju.

Tak w socjalizm dziś
Rzeczpospolita
Zdąża drogą
moich krwawych
bojów.

Oto idzie
o wiosennym ranku
Cichym krokiem
stąpając muzycznie

Jasnowłosa, zamyślona pani,
A na ręku
ma dzieciątko śliczne.

Dla nich
zdobywałem miasto w bojach ostrych
Rzekłbyś,

dzieje świeże i niedawne...
A szła ze mną Rosja —

starsza siostra
Miłującej wolność Polski sławnej.
Oświetlając drogę i dzień przeszły
Medal łni

w promieniach dumnej sławy.
Przyozdabia w Rosji pierś żołnierzy,
Głosząc:

„Za
wyzwolenie
Warszawy“.

Przełożył GRZEGORZ TIMOFIEJEW



KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

KLUCZ OD PRZEPASCI

SZTUKA W DWÓCH AKTACH – 3 ODSŁONACH

Amerykański lotnik, który zrzucił bombę atomową na Hiroszimę, Enrique Bernal, wstąpił do klasztoru. To autentyczne wydarzenie stało się pretekstem do napisania niniejszej sztuki. Zainteresował mnie problem moralny, szerszy znacznie od prywatnej sprawy owego lotnika. Rzecz dzieje się w klasztorze, w New Mexico. Do nowicjusza, który nazajutrz złożyć ma śluby zakonne, przybywają bliscy: rodzice, siostra Inez i narzeczona Lucy. W rozmównicy klasztornej rozgrywa się jeden z epilogów dramatu, który wstrząsnął ludzkością.

„...I ujrzałem gwiazdę, która spadła z nieba na ziemię, a dano jej klucz od studni przepaścistej. I otworzyła studnię przepaścistą i wyszedł dym ze studni jak dym pieca wielkiego, a słońce i powietrze zaćmiło się od dymu studni“.

Objawienie św. Jana (9, 1—3)

„Na skutek nalotu bombowców B-29 miasto Hiroszima poniosło znaczne straty. Niewątpliwie użyto bomby nowego typu. Bada się szczegóły...“

Radio japońskie, 7 sierpnia 1945

Z AKTU I

Enrique: Pani, panno Thompson, widziała mnie... tego dnia. Widziała mnie pani wczesnym rankiem szóstego sierpnia 1945, prawda?

Lucy: Tak. W messie. (Po chwili) Jedliśmy nawet razem śniadanie.

Enrique: Śniadanie?

Lucy: Tak.

Enrique: Więc jadłem śniadanie tego dnia... Co było na śniadanie, też pani pamięta?

Lucy: To, co zwykle. Szynka z jajkiem i keks.

Enrique: Szynka z jajkiem i keks. Zdziwiająca ma pani pamięć, panno Thompson. A co potem, co potem?

Lucy: Potem zaprosił mnie pan do baru na kieliszek whisky.

Enrique: Dalej...

Lucy: Potem przysiedli się Bob i Jimmy i zaczęliście wszyscy trzej narzekać. Jimmy najbardziej. Bez przerwy kłął.

Enrique: Komu wymyślaliśmy? Japończykom?

Lucy: Nie, nie Japończykom.

Enrique: Więc komu?

Lucy: Tak w ogóle. Że drugą dobę trzymają was w pogotowiu i że to nieróbstwo już wam obrzydło.

Enrique: Dalej. Co dalej?

Lucy: Później Bob proponował, żeby rozegrać partyjkę pokera, ale już nie zdążyliście, bo was wezwano do operacyjnego...

Enrique: A po odprawie, panno Thompson?

Lucy: Chciałam was odprowadzić do maszyny, ale ci z MP mnie nie przepuścili. Tego dnia, jak pan sobie przypomina, pole startowe było otoczone kordonem żandarmerii. Nie przepuszczano nawet mechaników.

Enrique: Tak.

Lucy: Pożegnaliśmy się, a potem, już jak oddaliście się spory kawał, pan się nagle odwrócił i... i uśmiechnął się pan do mnie.

Enrique: Uśmiechnąłem się?

Lucy: Tak. Pokiwał mi pan ręką, a ja wtedy zawołałam... (urywa nagle).

Enrique: Co pani zawołała, panno Thompson? Co pani zawołała?

Lucy (po chwili cicho): Good luck, Enrique.

Enrique (jak echo): Good luck... Więc uśmiechnąłem się, a pani zawołała: good luck... (po dłuższej pauzie) To się działo rano. A po... powrócie? Widzieliśmy się przecież po moim powrocie...

Lucy: Tak.

Enrique: No i...

Lucy: Czego chciałby się pan dowiedzieć?

Enrique: Moja twarz... Zapamiętałaś, jaką miałem twarz tego południa?... Mów... Zapamiętałaś jaką miałem twarz?

stwu znany... Właśnie pożegnaliśmy się i panna Thompson udaje się do kabiny radiotelegrafisty. Zbliża się bowiem szósta rano, a punkt o szóstej panna Thompson objąć ma dyżur przy stacji... Zgadza się?

Lucy: Tak.

Matka (do ojca): O czym oni mówią, Davy?

Enrique: Mija kilka minut i panna Thompson widzi przez okno trzy B-29, wzbijające się w powietrze; w tej samej chwili do pokoju wchodzi oficer i kładzie przed nią kartkę... Czy tak? (Lucy potakuje). W następnej sekundzie głos panny Thompson dociera do mnie przez radio; panna Thompson mówi... No!

Lucy: Będziemy sami na świecie.

Enrique: Powtórz.

Lucy: Będziemy sami na świecie.

Enrique (do Inez): Znasz to?

Inez: Owszem.

Enrique: Co to jest?

Inez: Refren samby, którą gra Ellington.

Enrique: Czy możesz zaśpiewać całą zwrotkę?

Inez (śpiewa):

Gdy zapadnie noc, o hej!
Tropikalna noc, o hej!
Gdy zapadnie noc, mój kwiecie,
Przez tę całą noc, o hej!
Tropikalną noc, o hej!
Będziemy sami,
Nareszcie sami,
Zupełnie sami,
Będziemy sami na świecie!

Enrique: Więc to nie jest złe proroctwo, a tylko refren samby, którą gra Ellington... Masz rację, jakiemu normalnemu człowiekowi przyszłoby do głowy, że w piosence jest tyle trupów?

Matka: O czym wy mówicie, dzieci?

Enrique: Ja w pierwszej chwili także ulegam złudzeniu, że wszystko znaczy jedynie to, co znaczy; przypomina mi się lunapark w New Jersey, widzę kolorowe lampiony i słyszę jazgot orkiestry, ale trwa to zaledwie przez mgnienie oka. bo już w sekundę później sięgam do mapnika i biorę jedną z trzech kopert, które mi wręczono

Z AKTU II

Enrique: Zaczniemy od rozstania na lotnisku. (Do rodziców i do Inez). Ten moment jest już pa-



na odprawie w operacyjnym, właśnie tę „Bę-
dziemy sami na świecie”; zawiera ona dokładny
kurs oraz dane, dotyczące sposobu bombardo-
wania, instrukcję, jak fotografować, i na koniec
małą wzmiankę o tym, że bomba, znajdująca się
w wyrzutni, posiada dużą siłę wybuchową... Ta-
kie zdanie „posiada dużą wybuchową” w oby-
tym lotniku nie wywołuje żadnych emocji, ro-
zumiesz? Piosenka przestała być piosenką, ale
nie jest jeszcze tym, czym jest naprawdę...

Inez: Gdy zapadnie noc, o hej...

Enrique: Po dwóch godzinach lotu dostrzegam
miasto w dole: Jimmy zniża maszynę; dochodzi
ósma minut sześć: leżę na brzuchu, stolik na-
wagacyjny gdzieś nade mną, prawa dłoń zaciśnię-
ta na lewarku; patrzę przez oszkloną podłogę,
miasto jest wielkie, rozrzucone na wyspach, z gó-
ry wygląda jak ogromna meduza; na rękach mam
pekary, te żółte pekary, które mi kupiłaś na
urodziny...

Matka: Żółte pekary?

Enrique: A teraz uważajcie, bo... Ten ruch, sam
przez się, nie znaczy nic; tysiące ludzi powta-
rza go codziennie, wykonując przy tym mnóstwo
różnych czynności; ten ruch może oznaczać, że się
przerzuciło bieg w samochodzie albo w prze-
dziale kolejowym przestawiono rączkę ogrzewania
z pozycji „zimno” na pozycję „gorąco”... A jed-
nak ten ruch wystarczył, żeby... Nie... Jeszcze
nic... Jeszcze nic... To jest umocowane na spa-
dochronie, spada powoli... Jimmy, nie śpiesząc się,
podciąga maszynę, jest czas, żeby wypalić papie-
rosa... Ci tam w dole nie domyślają się niczego...
Odwolują alarm, słyszycie?... Odwołują alarm
lotniczy... Jest ósma czternaście, urzędnicy wy-
chodzą z domów, dzieci wracają do przerwane-
go śniadania, w szpitalach poranny obchód... Jeszcze
dziesięć sekund... Jeszcze pięć... Jeszcze jedna...

Z AKTU I

Enrique: Chciałem tam jechać, pamiętasz? Ale
mi nie pozwolili. Chciałem to zobaczyć na własne
oczy. (Po chwili): Cała armia wypoczywała w to-
kijskich hotelach i tylko mnie jednemu nie było
wolno schodzić na ląd. Mnie i mojej załodze.
Każdy, kto pragnął zaznać słodyczy zwycięstwa,
dostawał przepustkę; każdy, kto miał ochotę za-
bawić się w nocnej knajpie, dostawał prze-
pustkę; każdy, kto tę wojnę chciał skończyć w do-
mu publicznym, dostawał przepustkę; i tylko ja
miałem tkwić na lotniskowcu... Ja jeden... Bo
ja chciałem obejrzeć co innego... Wiesz, co chcia-
łem obejrzeć...

Lucy: Tak, Enrique.

Enrique: I oni powinni byli mnie zobaczyć. Ci
stamtąd. Ci, co ocaleli. Chciałem, żeby i oni
mnie zobaczyli. Moją twarz, moje ręce... Ale za-
broniono mi tam jechać. Wyższe dowództwo, w
trosce o moją wrażliwą duszę, postanowiło za-
oszczędzić mi tego widoku... (Pauza). Daremnie.
Oni i tak za mną chodzą.

Lucy: Kto, Enrique?

Enrique: Ci stamtąd. Ci, co nie ocaleli... Chodzą
za mną... Sto tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.
Nie. Według oficjalnych danych tylko siedem-
dziesiąt pięć tysięcy, tylko siedemdziesiąt pięć!

Inez (do rodziców, w nagłym olśnieniu): Słuchaj-
cie... On ma... wyrzuty sumienia!

Enrique (do Inez): Wyrzuty sumienia? Nie, to za
dużo, jak na jedno ludzkie sumienie. Sto tysięcy
zabitych, za dużo.

Prapremiera sztuki Krzysztofa Gruszczyńskiego odbędzie się
w Teatrze Wojska Polskiego w Pałacu Kultury i Nauki.



Rys. K. Ferstler

W WIOSENNY dzień 11 kwietnia 1945 roku resztką ocalałych więźniów obozu
śmierci w Buchenwaldzie — wydała walkę swoim ciemnościom. Powstanie
było krwawe — uwieńczyła je wolność. Ten dzień ludzie dobrej woli ca-
łego świata obchodzą będą jako symboliczną datę oswobodzenia obozów koncen-
tracyjnych, rozsiąanych przez faszystowskich morderców po całej niemal Europie.

Ów miesiąc wiosny przed laty dziesięciu wracał ludziom wolność, przyzywał
ich do życia, do uśmiechu, do wszystkich ludzkich spraw — wielkich i drobnych...

W miejscu, które zwie się Oświęcim — w owej fabryce śmierci, której nazwę
z przerażeniem i rozpaczą przez lata całe wymawiały w różnych językach usta
matek i dzieci, mężów i braci — w wiosenny dzień 17 kwietnia 1955 spotkają się
ludzie z 21 krajów, przedstawiciele 21 narodów — by oddać hołd prochom mordo-
wanych, palonych, dręczonych przez faszyzm.

Spotkają się, by zadokumentować, że ponad granicami podają sobie dłonie,
zwierają mocno ręce. Zwierają mocno ręce, aby nie dopuścić do zwycięstwa śmier-
ci nad życiem. Aby nie dać nigdy więcej broni w ręce katów, aby ocalić pokój,
życie, uśmiech i pieśń, zwykłe dni i spokojne noce.



O urodzie juchitanek śpiewa się w Meksyku pieśni. Ich kolorowy strój jest niekończącym się tematem dla malarzy, a stanowiący charakter wyróżnia je od reszty Meksykanek. Są piękne i dumne. I świadome swych zalet.



Juchitan jest wioską kobiet. W ciągu dnia nie widać w niej mężczyzn. Na rynku kobiety sprzedają warzywa,

W „GRO

JSTESMY świadkami ceremonii ślubnej dwojga młodych jednego z najstarszych szczepów w Meksyku: Zapoteków. Stare legendy Tehuantepeku opowiadają, że Zapotekowie spadli wprost z chmur w postaci ptaków i dopiero na ziemi przekształcili się w ludzi. Dziś na wąskim pasie między Oceanem Spokojnym a Atlantykiem mieszka około 200 tysięcy potomków Zapoteków, którzy mówią — obok hiszpańskiego — swym własnym narzeczem i wiernie przestrzegają pradawnych tradycji.

Ślub w Juchitanie to nie byle jaka rzecz. W „szanujących” się rodzinach trwa on tylko... cztery dni, za to odbywa się ze wszystkimi szczegółami, jakich wymaga stara tradycja. „Gród Białych Kwiatów” (to bowiem oznacza nazwa „Juchitan”) jest małą wioską, która zachowała po dziś dzień prawie średniowieczny podział społeczny. W środkowej części wsi mieszkają kupcy i właściciele sklepików, tzw. „lepsze” rodziny; w północnej części mieszkają tzw. „Bini-neza gła”, trudniący się przeważnie haftem i wyrobem przedmiotów ze słomy; „Bini-neza gete” mieszkają na południu i stanowią najuboższą część ludności, wyrabiającą przeważnie ceramikę. Po drugiej stronie rzeki mieszkają „Bini-cegigo” czyli chłopci, uprawiający ziemię, hodowcy kwiatów i myśliwi. Z podziału tego przybył z dale-



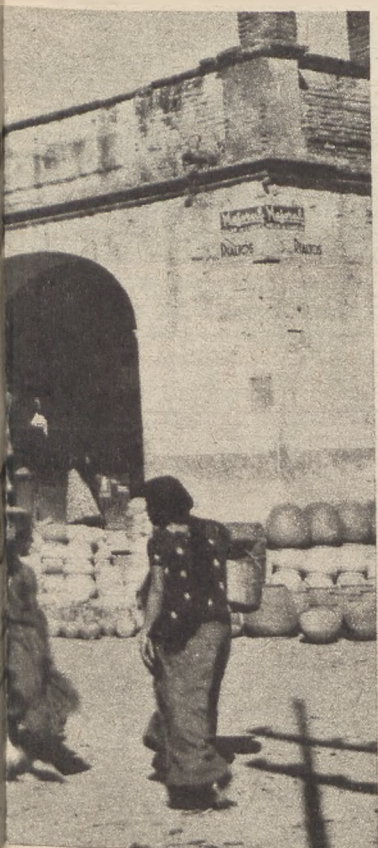
Na rynku kobiety sprzedają warzywa, mięso, trzcinę cukrową, naczynia z gliny i przepiękną biżuterię.



Stroje mieszkańców Juchitanu rwą oczy bogactwem kolorów. Kobiety noszą się tak jak i ich prababki.



Wesele w Juchitanie trwa tylko... 4 dni. Korowody gości rozśpiewane, roztańczone — wędrują wzdłuż i wszerz



mięso, kapelusze ze słomy, naczynia z gliny, piękną biżuterię.

O czym myśli ta stara kobieta? Może wspomina młodość i swój barwny ślub?

Piękne, zgrabne naczynia z gliny wypalają mieszkańcy Juchitanu. Nie powstydziłyby się ich niejedna nowoczesna wytwórnia... A uroku dodają im niewątpliwie pełne wdzięku sprzedawczynie.

ZIE BIAŁYCH KWIATÓW

kich stron nie od razu zda sobie sprawę, natomiast uderzy go natychmiast inne zjawisko: Juchitan jest wioską kobiet. W ciągu dnia nie widać w niej mężczyzn prawie wcale. Na rynku kobiety sprzedają warzywa, mięso, kapelusze ze słomy, trzcinę cukrową, naczynia z czarnej gliny, przepiękną biżuterię, naszyjniki, które wieczorem zobaczymy na szyi panny młodej i prawie wszystkich dziewcząt.

O urodzie Juchitanek śpiewa się w Meksyku pieśni. Ich kolorowe stroje są niekończącym się tematem dla malarzy, a ich stanowczy charakter wyróżnia je od reszty Meksykanek. Piękne kobiety Juchitanu noszą takie same stroje jak ich prababki, mężczyźni natomiast noszą już normalny ubiór robotniczy.

„Enramada” — szalas zbudowany z gałęzi i trzciny specjalnie na ślubną uroczystość — jest szczerze wypełniony weselnymi gośćmi. Wokół wielkiego drzewa kokosowego, które podpira szalas od środka, usiadły dziewczęta w swych kolorowych „hulpiach”, czarnych aksamitnych spódnicach, haftowanych w fantastyczne maki, róże i inne kwiaty bez nazw. Białe pliwosowane falbany, którymi zakończone są spódnice, poruszają się jak wielkie wachlarze. Jakże biednie wyglądają przy tych wspa-
niałych dziewczętach, ozdobionych kółkami i ciężkimi na-

szyjnikami, kolorowymi wstążkami wplecionymi w wysoko upięte warkocze, młodzi Zapotekowie w miejskich ubraniach...

Lokalne orkiestry grają popularne melodie ludowe. Tańczy się je w odległości, a raczej tańczy je mężczyzna, a dziewczyna ze skromnie opuszczonymi w dół oczyma porusza się lekko, unosząc w rękę barwną spódnicę. Ten sam dystans w tańcu zachowują państwo młodzi, którzy sprawiają wrażenie pary, która po raz pierwszy spotkała się przed paroma minutami, a nie małżeństwa, które już podpisało akta ślubu cywilnego.

Kiedy ojciec pana młodego dowiadyuje się, że w „enramadzie” znajduje się Polka — odszukuje mnie wśród tłumu, ażeby zapytać o zdrowie „Senora Arkadego”. Okazuje się, że w wiosce tej kiedyś przed laty mieszkał przez parę tygodni niestrudzo-
ny podróżnik Arkady Fiedler...

Zabawa jest w pełni, kiedy o północy pan młody się wymyka wraz z druhami. Zwyczaj każe, aby o świcie udał się do domu chrzestnych, gdzie spędza ostatnią noc narzeczoną. Przyjaciele narzeczonego, którym towarzyszy muzykująca kapela, niosą wysokie świece, dzbanek z wodą, wino, papierosy i zapalnik oraz... nową miotłę. Dom ma być czysto wymieciony, bez „złych duchów”, a wtedy panować w nim będzie dostatek. Jeżeli któryś z drużbów zachowa się niezgodnie z przepisami, rodzice chrzestni mogą przywiązać go do ławki. Więzień musi się wykupić, a wykup stanowi kilka butelek wina. Nad ranem obie rodziny składają sobie znów wizyty. Znowu znoszą jedzenie i wino, znowu gra muzyka.

Zbliża się rano — pora udania się do kościoła. Wieś śpi, tylko najbliższa rodzina towarzyszy nowożeńcom. Sam obrządek jest właściwie formalnością, nikt do niego nie przywiązuje specjalnej wagi. Zresztą panna młoda w swym kolorowym, pogańskim stroju, sama jak kwiat egzotyczny, i jej równie kolorowe drużki wyglądają jakby zeszyły z jakichś żywych obrazów. Ksiądz też się bardzo spieszy, bo za naszymi nowo-
żeńcami czekają jeszcze dwie pary, bardzo biednie ubrane. To właśnie z „Bini-nezage” — najuboższej części ludności, a ksiądz nie lubi takich ślubów...

Tymczasem wieś się zbudziła. Bliscy krewni i przyjaciele znów się spotykają na śniadaniu. Pod oknami grają kapele. Juchitan rozpiewał się od samego rana, ale właściwa zabawa rozpoczyna się dopiero o 12-ej w południe.

O tej to godzinie w „enramadzie”, przystrojonej wstążkami i kwiatami rozpoczynają się tańce, które trwać będą do zmroku. W tłumie i gwarze łączą się pary w szalonym korowodzie, spadają ze stropu wielkie „coco”, aż wreszcie groźny trzask bambusowego stropu oznajmia, że „enramada” lada chwila rozpadnie się w drobne kawałki...

Kiedy zapadł zmrok, pan młody udał się do domu panny młodej, tym razem już bez muzyki. Przed załupionym otwartym kłękł państwo młodzi, a stary wiejski patriarcha wygłosił niezrozumiałe przemówienie w narzeczu zapotekim, błogosławiąc ich przy tym znakiem krzyża... Następnie każdy z członków rodziny błogosławił ich trzykrotnie i wszyscy ko-
szowali odrobinę gorącej czekolady z tej samej filiżanki, która wydawała się nie mieć dna... Po tej ceremonii (był to koniec dnia trzeciego) pan młody mógł wreszcie umknąć z panną młodą...

Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że na tym skończył się ślub i młoda para wreszcie wyrwie się spod kontroli rodziny i przyjaciół.

Następnego dnia grono męzatek czei fakt, iż przybyła jeszcze jedna. Ustrojone w wieńce z kolorowych kwiatów trzymając się za ręce, tanecznym korowodem przeciągają kobiety przez wiejskie uliczki w blaskach tropikalnego słońca, przy dźwiękach trąb, bębnow i piszczałek... Na szczątkach „enramady” rozpoczyna się znów zabawa...

Tym razem jest to święto kobiet. Kobiety wybierają partnerów do tańca i tańczą między sobą. Kobiety pilnują, aby wszyscy pili i aby nikt zmęczony nie umknął cichcem do domu... Zabawa ciągnie się tak długo, póki nie zostanie wyszczona ostatnia kropla piwa i „tequilli”, a blednym grajkom nie opadną zupełnie ręce ze zmęczenia...

Wtedy uroczystości ślubne można uznać za skończone. Roz-
śpiewana i roztańczona wioska wraca do normalnego życia. A przybysz z daleka? Przybysz skrycie myśli: Jaka szkoda, że i do tej zapadłej, uroczej wioski docierają już pierwsze zwiastuny amerykańskiej „kultury” w postaci butelek z ciemnym napojem i etykietką Coca-Cola...

MARIA G. STEN

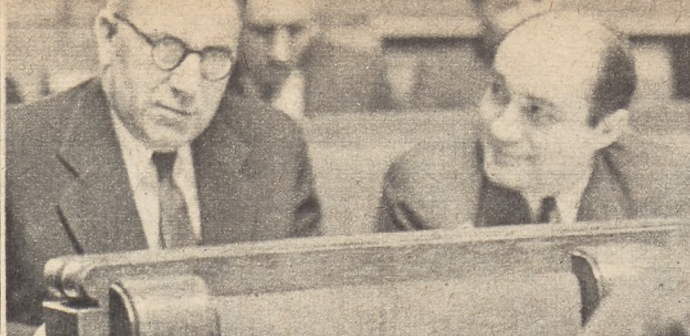
Słońce piecze niemiłosiernie. Trzeba przykryć głowę. Byle jak. Nic nie jest w stanie zgasić urody.



Juchitanu od rana do nocy. Małżeństwo rozpoczyna się radośnie. Co będzie dalej — pokaże dopiero przyszłość.



Godzina 10,55, w sali bufetowej rozlega się dzwonek, wzywający na obrady. Dwaj hutnicy-posłowie: Kowol (po lewej) i Karasiński kończą „przedsesijną” pogawędkę.



Przed chwilą Marszałek Sejmu otworzył obrady. Fotoreporter nasz przystępuje do akcji — rozpoczyna od ław poselskich. Oto posłowie Ochab (po lewej) i Matwin.



Krótką wymianę zdań między „ławą rządową” a „ławą poselską”. Podczas obrad jeden z posłów dzieli się swoimi uwagami z Ministrem Skupu Mierzwinińskim (po lewej).

OD SALI OBRAD DO KULUARÓW



Oto klerownicy nawy państwowej w ławach rządowych, które istotnie przypominają okręt czy też łódź. W pierwszym rzędzie „nawy”: Szef Urzędu Rady Ministrów — Mijał, Minister Handlu Zagranicznego — Dąbrowski, Min. Gospodarki Komunalnej — Baranowski, Min. Handlu Wewnętrznego — Minor i Min. Spraw Wewnętrznych — Wicha.

Fotoreporter nasz nie dowiedział się niczego, co wprowadziło w taką zadumę Wice-ministra Kultury i Sztuki — Wilczka.

Galeria sejmowa przez cały okres VI sesji wypełniona była „po brzegi”. Różnorodność poruszanej tematyki sprawiała, że każdy z obywateli znajdował coś, co go bezpośrednio dotyczyło. I tutaj toczyły się żywe dyskusje.



VI SESJA Sejmu dobiegła końca. O godzinie 10,55 na początku doniosła deklarację o współpracy państwa na rok 1955, ustawę o zmianach w regulaminu Sejmu, zmierzającą do umocnienia zespołów poselskich, oraz wiele innych. Zawsze ten sam: umocnienie siły państwa.

dalsze podnoszenie naszego znaczenia w świecie. Ale nie tylko obfitość porządku dziennego. Co uderzało najbardziej obserwatora — projektami rządowymi, wnioskami i — pozwólmy sobie użyć — o takie sprecyzowanie projektów ustawowych, aby co dotychczas osiągnęliśmy. Najwięcej postulatów. Analiza poselska sprawiła, że w stosunku do budżetu o około 100 milionów złotych, a dochody o około 100 milionów złotych, poprawek i budżet uchwalono w nowym brzmieniu.

W przerwach między obradami dyskusje przenosiły się do kuluarów. Gorąca argumentacja, uzasadnianie jeszcze bardziej, a czasem i nienawiść lub brak czasu nie dopowiedziano na sejmie. Reportaż fotograficzny, którego akcja toczy się głównie w kuluarach.

Fot. W. L.

Zagadnienia obrony naszego państwa interesują każdego z posłów. W kuluarach Marszałek Rokossowski otoczony był zawsze gronem rozmówców.





Co przykulo uwagę posła Żółkiewskiego? Prawdopodobnie jakiś zabawny incydent; może ktoś zapisany do głosu zgubił swoje notatki i teraz szuka gorączkowo?

Minister Gospodarki Komunalnej — Feliks Baranowski (po lewej) i Minister Sprawiedliwości — Henryk Świątkowski znaleźli w tej chwili wspólny temat do dyskusji

Izba poselska niejednolicie reaguje na wystąpienia mówców. Widać poruszany problem odległy jest od spraw interesujących żywotnie przedstawicieli woj. rzeszowskiego

KULUARÓW

ne to były obrady; przypomnijmy tutaj uchwaloną sprawę polityki zagranicznej, dalej budżet państwa, rozszerzeniu kompetencji sądów powszechnych, zmianom w usprawnieniu pracy komisji i wojewódzkich aktów sejmowych, których cel ostateczny był tego państwa, dalsza poprawa bytu obywatela,

go waga były dla tej sesji charakterystyczne: wysoka temperatura dyskusji nad problemami, w których przejawiała się gruntowna znajomość tego ogranego zwrotu — głęboka troska o państwo, jak najskuteczniej pomogły one w ulepszaniu tego, poprawek zgłoszono do projektu ustawy budżetowej, rządowego projektu wydatki państwowe zwiększono o 77 milionów — Rząd uznał całkowitą słusność tych

ono do kuluarów; tu w dalszym ciągu rozwijano szczegóły, czego przez zapomnianą mównicę. Przedstawiamy dziś Czytelnikowi nie na sali obrad, ale także i w kuluarach Sejmu.

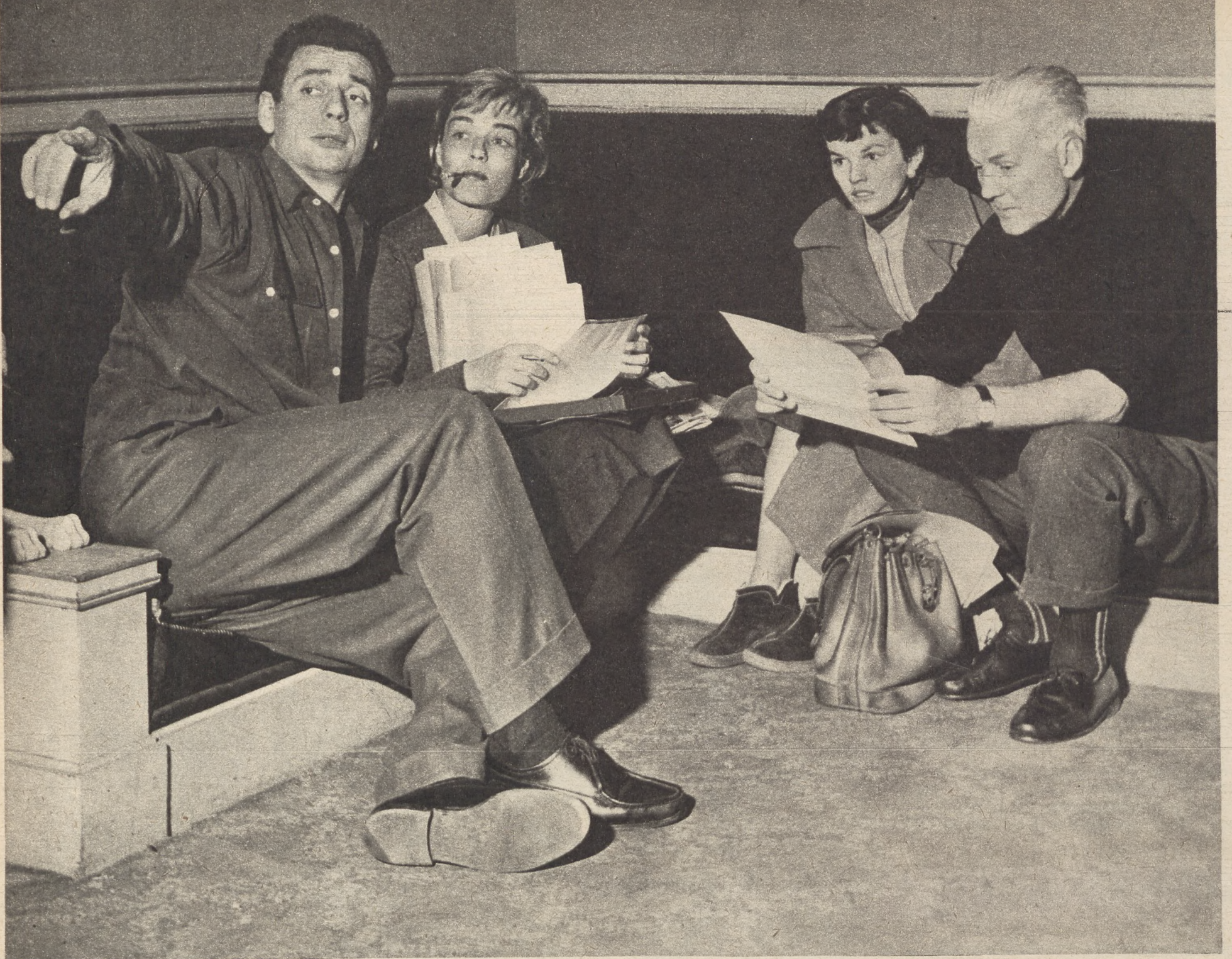
SŁAWNY

zerwach między obradami nieoficjalna „debatą” przenosi się w kuluarach. Na pierwszym planie po lewej Wicepremier PRL — Jakub Berman w rozmowie z posłami



Przewodniczący obrad (od lewej): Wicemarszałek Sejmu Kulczyński, Marszałek Sejmu — Dembowski, Wicemarszałkowie — Mazur i Ozga-Michalski. Tutaj, na stole marszałkowskim gromadzą się wnioski i interpelacje poselskie, stąd ogłaszany jest porządek dzienny i podawane do wiadomości Izby wyniki głosowania nad projektami ustaw





YVES MONTAND I SIMONE SIGNORET PODCZAS PRÓBY. W SZTUCE „CZAROWNICE Z SALEM” UKAZALI ONI NOWE WIELKIE MOZLIWOŚCI SWEGO TALENTU

Czarownice z Salem

W TEATRZE SARAH BERNHARDT

DOMINIQUE DESANTI

Korespondencja własna „Świata” z Paryża

Fot. LIPNITSKY I JEANLOUP SIEFF

REWELACJA tegorocznego sezonu teatralnego jest sztuka amerykańskiego pisarza Arthura Millera, wystawiana z ogromnym powodzeniem w teatrze „Sarah Bernhardt”. Sztuka — „Czarownice z Salem” — należy do najbardziej aktualnych, choć akcja jej toczy się w wieku siedemnastym. Aktor, którego imię znajduje się na ustach wszystkich — to Yves Montand, najpopularniejszy piosenkarz Paryża, znany m. in. polskiej publiczności z filmu „Cena strachu”.

Bilety na „Czarownice z Salem” zamawiać trzeba na tydzień wcześniej. Każdego wieczoru sala wypełnia się do ostatniego miejsca. Później kurtyna idzie w górę i...

...Młode dziewczęta boją się. Chciały przygotować napój miłosny, tańczyły nago w lesie, wymawiały zaklęcia. Ktoś je zauważył i oto mają zostać oskarżone o zmowę z diabłem i uprawianie czarnoksięskich praktyk. Za przestępstwa takie grozi w średniowiecznej Ameryce szubienica albo i spalenie na stosie. Najobrotniejsza z

dziewcząt, sprytna i zmysłowa Abigail, postanawia więc oskarżyć kobiety z miasteczka o rzucenie uroku na nią i jej przyjaciółki. Pojawia się wyspecjalizowany w zagadnieniu pastor, rozpoczyna śledztwo i niebawem... otrzymuje pierwsze zeznania. Zeznań jest niebawem tak dużo, że trybunał obraduje bez przerwy dniem i nocą: dziewczęta coraz lepiej wchodząc w swoją rolę — wpadają w histerię, symulują, zmyślają „wizje”, oskarżają wszystko i wszystkich. Abigail kocha jednego z farmerów, Proctora, człowieka dobrego i sprawiedliwego, o słabym jednak charakterze. Dziewczyna nie przebiera w środkach i oskarża o czarodziejstwo chorą i upośledzoną żonę Proctora.

Wydarzenia w miasteczku posuwają się tymczasem naprzód, śledztwo ciąży nad całym życiem, prawdziwe i rzekome historyczki święcą triumfy. Połowa ludności znajduje się w stanie oskarżenia, wiele osób stracono, inne oczekują swojej kolei. Osobiste zawiści, strach, miłość i zemsta — wszystko to jest źródłem coraz to nowych insynuacji i donosów. Zjawisko przybiera tak wielkie rozmiary, że nawet w umyśle pastora-specjalisty budzą się wątpliwości. Stara się wtedy bezskutecznie o zatrzymanie fali oskarżeń, ale spotyka go przysłowiowy los ucznia czarnoksiężnika: również i on sam staje się podejrzanym, rozpętane przezeń morze obłudy i hysterii pochłania i jego. Mieszkańcy uciekają wre-

szcze z miejscowości, rodzi się bunt. Farmer Proctor w poczuciu swej niewinności odmawia składania zeznań, chociaż wie doskonale, że niewinni byli również ci, których stracono. Proctor podejmuje jednak decyzję: raczej podzieli ich los, niż złoży — za cenę życia — fałszywe oświadczenia. Jego żona przeżyje zapewne czas terroru, jest bowiem — na swoje szczęście — brzemienna i nie podlega karze egzekucji. Ona też głosić będzie kiedyś niewinność męczenników i prawdę o wydarzeniach.

Proctora gra Yves Montand. Jest to pierwsza teatralna rola tragiczna, jaka przypadła temu głośnemu pieśniarzowi uosobiającemu zazwyczaj radość życia i niefrasobliwą wesołość paryskiej ulicy. Yves Montand objawił się teraz jako jeden z najwspanialszych artystów dramatycznych. Był prawdziwym Proctorem-farmerem, człowiekiem bojącym się Boga i rozmyślającym z trwogą o grzechu pierwotnym, człowiekiem z siedemnastowiecznego Salem, miasteczka pogrążonego w cieniu średniowiecznego jeszcze zabobonu i okrucieństw amerykańskiej inkwizycji.

Żonę Proctora grała bohaterka wielu filmów Simone Signoret, wzruszająca i niezapomniana, ludzka, czuła i dumna. Innym niezwykle odkryciem była aktorka filmowa Nicole Courcel w roli Abigail. Reżyser zaś — Raymond Rouleau — otrzymał nagrodę za inscenizację sztuki, która zapisana została w kronikach teatralnych jako „objawienie znakomitości”.

Yves Montand, wielka aktorka Simone Signoret, obiecująca Nicole Courcel, Raymond Rouleau — wszyscy oni stworzyli ważne dzieło swego życia, ukazali nie wyzyskane dotąd złoża swego talentu. Publiczność obserwuje też przedstawienie z zapartym tchem, przeżywa je. Na scenie odbywa się dramat odległego o trzy wieki Salem. Współczesny widz odkrywa w nim jednak amerykański dzień dzisiejszy, maccartyzm, sprawę Rosenbergów. Jest to zaś wrażenie tak powszechne, że krytyk „Le Monde” uważał za wskazane



Montand — farmer Proctor. Jest to jego pierwsza teatralna rola tragiczna.



...był prawdziwym Proctorem-farmerem z siedemnastowiecznego miasteczka.

nadmienić, iż nie wiadomo, do czego czyni autor aluzję, w „Aurore” natomiast można było znaleźć stwierdzenie, że „również we Francji średniowiecznej odbywały się wielkie procesy. czarownic”. Wszystkie takie uwagi powodują się złośliwym pragnieniem zawołania intencji dramaturga, odsunięcia akcji sztuki od współczesności. Wymowa dzieła i reakcja publiczności są jednak jednoznaczne. „Czarownice z Salem” oskarżają McCarthy’ego, morderstwa na Malajach, zbrodnie na Madagaskarze i w Kenii. Sztuka budzi szacunek dla zdrowego rozsądku i miłość dla wolności. Warto też wystawić ją we wszystkich krajach.

Paryski sukces sztuki Arthura Millera ma jeszcze i inny aspekt. Dowodzi on, że publiczność Paryża nie jest bynajmniej „niewolnicą teatru bulwarowego” i że, wbrew pochopnym opiniom, wartościowy i ideowy utwór znajduje wśród niej licznych odbiorców.



Żonę Proctora grała Simone Signoret, bohaterka znana nam z wielu filmów. W swej roli była ludzka, czuła i dumna...

Przed spektaklem. Sztuka Arthura Millera „Czarownice z Salem” oskarża McCarthy’ego, budzi szacunek dla rozsądku i wolności...



ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

GENIUSZ EPOKI

BYŁO babie lato. Liście klonów barwiły się czerwienią. W przeźroczystym powietrzu latały lekkie białe pajęczynki. Nasze lotnisko, skupione twarze kolegów, samolot gotowy do startu — wszystko tego dnia wydawało mi się jakieś uroczyste i odświętne.

Podpułkownik Proszakow, doświadczony »wysokościowiec«, siedzi za sterem. Prowadzi samolot ostrożnie, od czasu do czasu redukuje gaz i leci poziomo dla odpoczynku naszych płuc i silnika.

Samolot pokrywa się szronem; temperatura wynosi minus 60 stopni, nie czuję jednak chłodu. Specjalny ekwipunek chroni mnie doskonale przed mrozem.

Maszyna wznosi się coraz wolniej, zostawiając za sobą białą smugę kondensacyjną. Ten biały ślad trwa długo, jakby zamrożony w nieruchomym powietrzu.

Wysokościomierz wskazuje 13.000 metrów. Jesteśmy w stratosferze. Stwierdzają to zarówno przyrządy, jak i moje samopoczucie: głowa, ręce i nogi wydają mi się ciężkie, obce, nieposłuszne. Śledząc strzałkę wysokościomierza przypominam sobie słowa lotnika włoskiego, który podjął próbę lotu do stratosfery: »Jestem śmiertelnie zmęczony, doszedłem do granic wytrzymałości ludzkiej«.

Siedzę nieruchomo, starając się zużywać tylko tyle energii, ile jej trzeba na to, aby widzieć i myśleć. Wreszcie strzałka wysokościomierza dochodzi do liczby zaznaczonej czerwioną kreską. Sygnał pilota potwierdza, że nadeszła chwila skoku.

Nielatwo jest opuścić samolot w stratosferze. Trzeba na to dużego wysiłku, a siły należy oszczędzać na chwile trudniejsze, które nadejdą później.

Cały proces wyjścia z kabiny przemyślałem szczegółowo i niejednokrotnie przećwiczyłem uprzednio. Teraz wyciągam tęgi haust tlenu, odpycham się mocno od samolotu i walę się w dół z pokładu.

Ktujące igły mroźnego powietrza wdzierają się pod ciasno zapięty kołnierz kombinezonu. Przewracam się bezwładnie. Ziemi nie widać pod pierzastymi obłokami, które robią wrażenie wykutych z marmuru. Przez krótką chwilę ich powierzchnia wydaje mi się granicą spadania, dnem przestrzeni. Ale od razu przypominam sobie, że od tych obłoków do ziemi jest jeszcze około ośmiu tysięcy metrów.

Znowu zaczynam koziołkować. Początkowo usiłuję temu zapobiec, ale na tej wysokości musiałbym zużyć zbyt dużo energii, aby zachować równowagę, a do ziemi wciąż jeszcze daleko. Spadam nadal bezwładnie w dół poprzez warstwę obłoków. Obejmuje mnie mętna szarość, potem obłoki zostają nade mną — jeszcze je widzę.

Znow próbuję opanować nieskoordynowane ruchy mego ciała i w tej chwili dostrzegam ziemię.

Spadam teraz na płask, twarzą ku ziemi, starając się utrwalić tę dogodną pozycję ruchami rąk...

Gwizd w uszach trwa ciągle, nie przeszkadza mi to jednak przeżywać radosnego podniecenia. Wszystkie zmysły mam wyostrzone do najwyższych granic...

Ziemia zbliża się ku mnie, rośnie z każdą chwilą. Wszystkie punkty orientacyjne olbrzymieją w oczach. Zostaje mi nie więcej niż tysiąc metrów wysokości. Czas otworzyć spadochron...

Oto opis spadochroniarza-eksperymentatora pułkownika Romaniuka, który wyskoczył na wysokości 13.000 metrów, z tych dwanaście tysięcy przeleciał z zamkniętym spadochronem. Spadał przeszło dwie i pół minuty, dokładnie 167 sekund.

W innym miejscu swej cudownej książeczki „Notatki spadochroniarza” opisuje skok z wysokości 13.400 metrów, tym razem z otwartym spadochronem:

„Nad moją głową pęcznieje czasza niezawodnego spadochronu. Strumień tlenu dostaje się do płuc, ubranie i maść chronią od zimna.

Rozglądam się dokoła, uświadamiając sobie całą niezwykłość otoczenia. Przecież jeszcze żaden człowiek na świecie nie otwierał spadochronu tak wysoko. Przecież nikt jeszcze nie spoglądał na ziemię spod czaszy spadochronu będąc na takiej wysokości.

Ziemia. To, co widniało na dole, nie wyglądało jak ziemia. Była to raczej jakaś olbrzymia, daleka, niewyraźna plama stanowiąca dno przestrzeni. Głęboko pode mną, między dwoma obłokami podobnymi do łańcuchów górskich lśniła wązka nitka Wołgi. Punkty orientacyjne traciły z tej wysokości swoją osiągalność, stawały się nierealne.

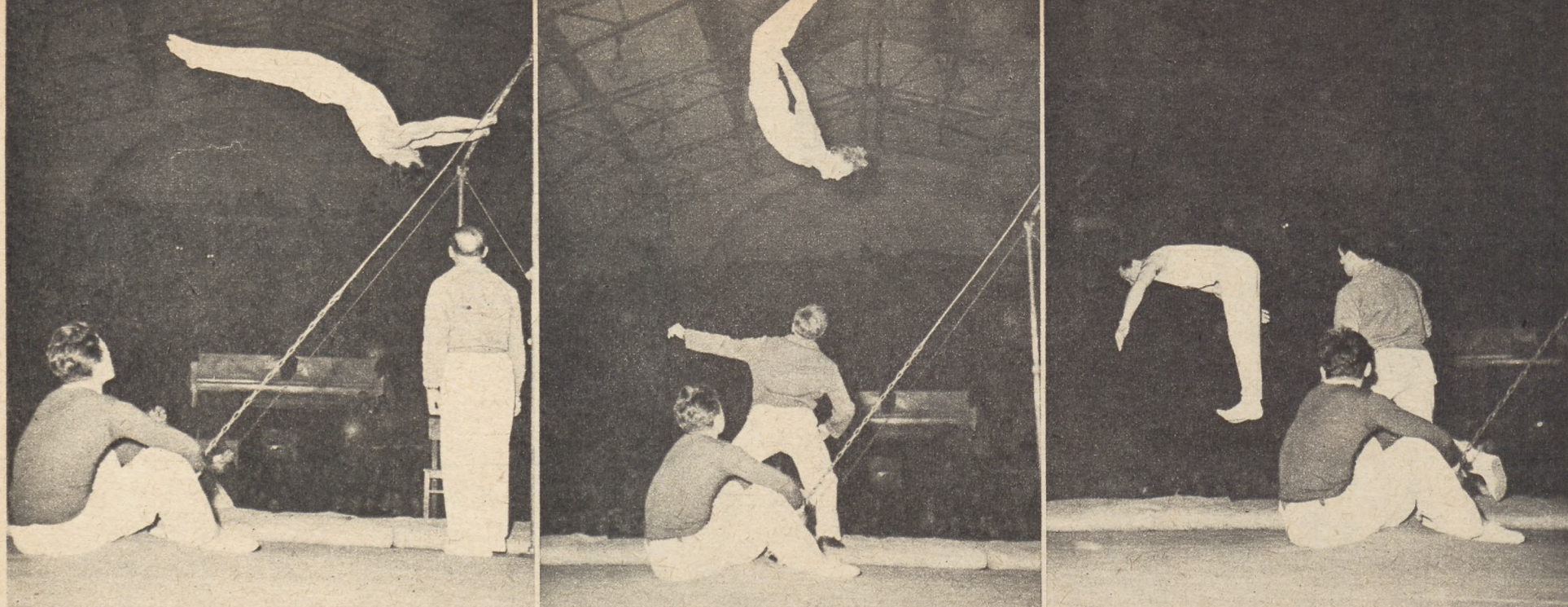
Podniosłem głowę. Nade mną w szafirowym niebie jaskrawo aż do bólu świeciło słońce.

Owładnięto mną uczucie dziwnego osamotnienia. Czuję się zagubiony, oderwany zupełnie od ziemi, z której nie dochodził żaden dźwięk. Na próżno wstuchiwałem się w otaczającą mnie ciszę.

Opadanie było prawie niedostrzegalne wskutek wielkiej wysokości. W pewnej chwili zaczęło mi się zdawać, że będę wiecznie wisiał w tej niezmiiernej przestrzeni, w promieniach nienaturalnie jaskrawego słońca i że już nigdy nie opuszczę się na ziemię”. (Przytaczam w tłumaczeniu Zofii Meissnerowej).

Istnieje naprawdę nowy człowiek w świecie, nie zanotowany dotąd przez literaturę. Rzeczy opisane przez Romaniuka są nowe w każdym calu. Czterdziestoletni, nawet ci, nie mówiąc już o starszych, mogą posiadać świadomość nowego, ale w swej wizji świata, a zwłaszcza w swych uczuciach należą — choćby mieli najbardziej rewolucyjną przeszłość — do świata wczorajszego, który obalili. Dwudziestoletni żyją w nowym świecie, ale ponieważ brak im materiału porównawczego, zupełnie nie posiadają świadomości nowego (są daleko mniej dramatyczni). Nowe warunki życia wytworzyły w nich zupełnie nowy stosunek do wielu rzeczy. Na pół wczorajsi, zupełnie nie możemy się z tym pogodzić. Wołamy więc, że młodzi są cyniczni, pozbawieni romantyzmu, niemoralni — młodzi zaś nie wiedzą, o co nam chodzi. Przykładamy miary życia umarłego do rzeczy żywych i jesteśmy oburzeni. Młodzi są po prostu na miarę nowego życia, które dla nich z takim trudem wywalczyliśmy.

Po naszej rewolucyjnej młodości mieliśmy się już niczemu nie dziwić. A przede wszystkim nie miało być żadnych nieporozumień pomiędzy generacjami!...



BARDZO DUŻO EMOCJI DOSTARCZYŁY ĆWICZENIA NA DRAŻKU, A NASZ FOTOREPORTER UCHWYCIŁ TRZY KOŃCOWE FAZY TEJ TRUDNEJ EWOLUCJI

PIĘKNO, ZREĆZNOŚĆ, SIŁA

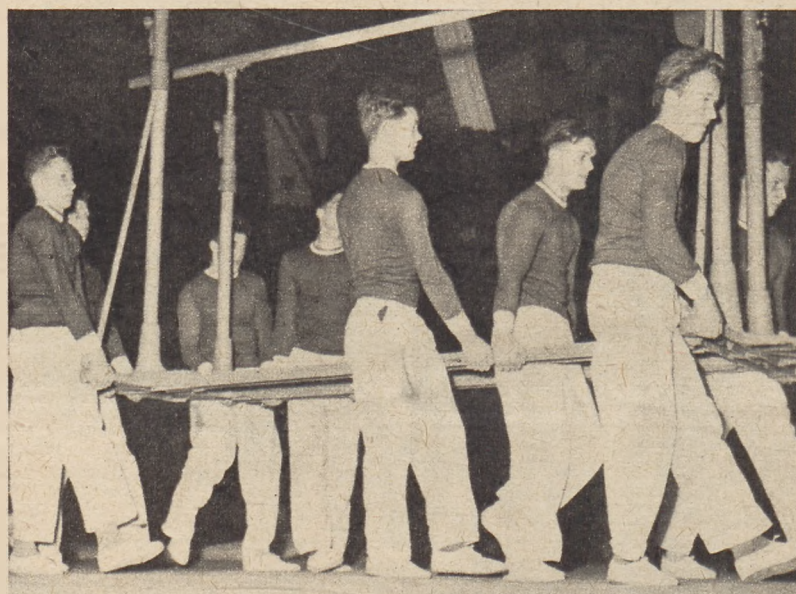
• SPORT • SPORT • SPORT • SPORT •

• SPORT • SPORT

W Warszawie został rozegrany dwudniowy mecz gimnastyczny Polska — Francja w konkurencjach męskiej i kobiecej. Polki zdecydowanie górowały nad koleżankami z Francji zwyciężając 226,05:216,15 pkt. Natomiast w konkurencjach męskich walczone niezwykle zażarcie aż do ostatnich ćwiczeń. Polacy uzyskali nieznaczne, ale i mało spodziewane zwycięstwo 334,10:333,60. Nasi goście najlepiej wypadli w ćwiczeniach na koniu z lękami — tę konkurencję wygrali wysoko, bo różnicą 2,35 punktów. Najbardziej ciekawe były ćwiczenia wolne. Spotkanie wywołało bardzo duże zainteresowanie i hala była wypełniona. Mecz odbył się w bardzo serdecznej atmosferze, a publiczność okazała się bardzo obiektywna.

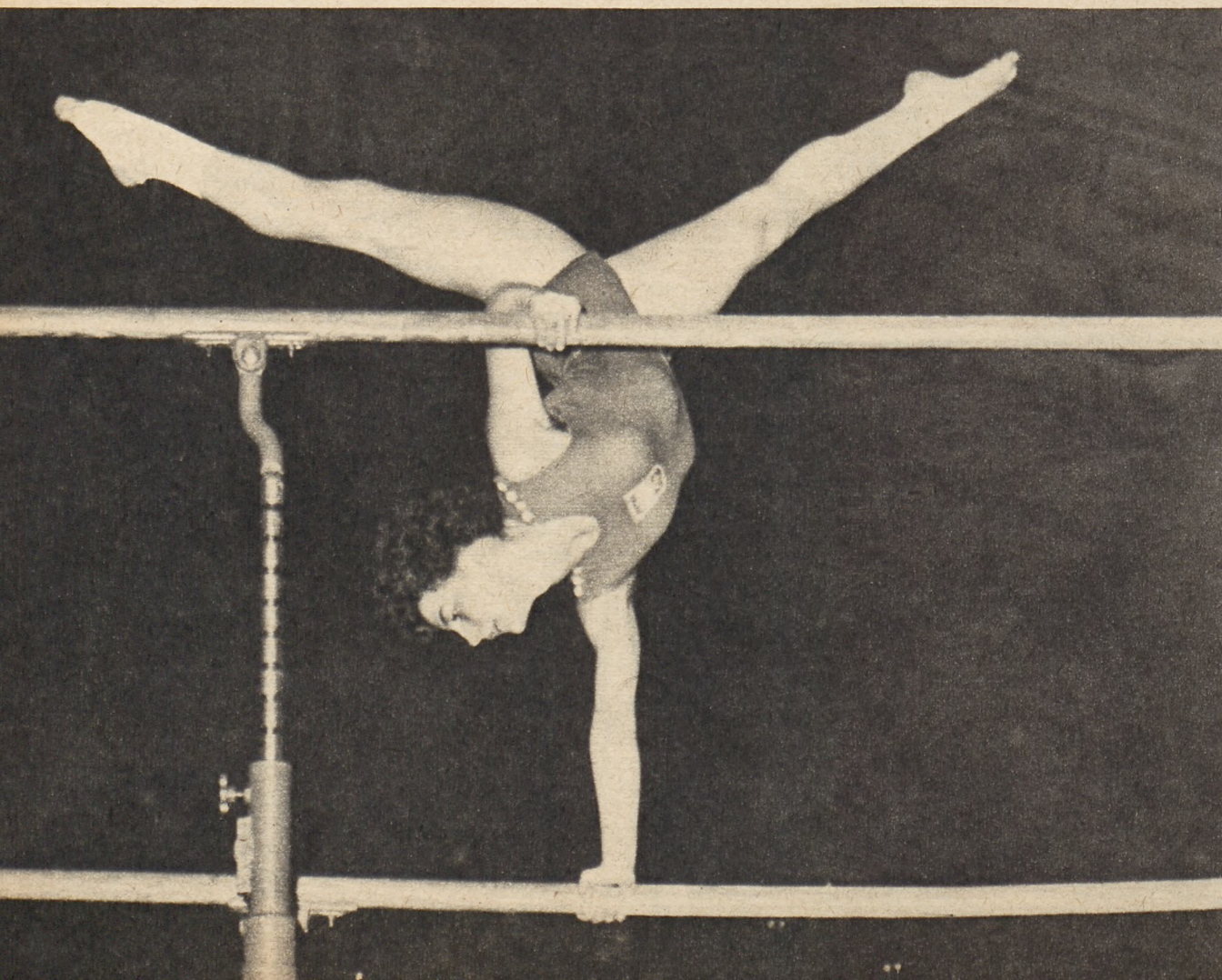
SPORT • SPORT

Fotografował: WIESŁAW PRAŻUCH



Sprawnie obsługiwali imprezę młodzi sportowcy z „Budowlanych”

NA ZDJĘCIU PONIŻEJ NOWAK-STACHOW W ĆWICZENIACH NA PORĘCZACH. OBOK FRANCUZ CHALINE W EFEKTOWNYCH ĆWICZENIACH NA KONIU



FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

PODARUNKI DLA PRZYJACIÓŁ

W wielu kołach LZS przygotowania do V Festiwalu Młodzieży są już w pełnym toku. Jeźdźcy LZS — jak to już pisaliśmy — zawzięcie trenują przed wielkimi pokazami hippicznymi. Zespoły amatorskie opracowują widowiska, uczą się nowych pieśni i tańców. Inni członkowie LZS natomiast przygotowują dla gości z dalekich krajów i kontynentów drobne upominki.

Barwne wycinanki ludowe, pięknie haftowane koszule, serwety i koronki, modele maszyn produkowanych w kraju oraz sprzęt sportowy — własnoręcznie przez dziewczęta i chłopców wykonane — przypominać będą młodzieży różnej narodowości i



„Żeby się im tylko podobały” — niepokoją się pracownice dziewczęta.

ras o pobycie w Polsce i o przeżyciach festiwalowych. Najwięcej upominków — i to ślicznych — przygotowała

Chociaż od wakacji letnich dzieli nas jeszcze parę miesięcy, prezydium wojewódzkich rad narodowych przystąpiło już do ustalania miejscowości, w których dzieci spędzać będą tegoroczne lato. Kolonie rozmieszczone będą w różnych dzielnicach kraju: w podgórskich malowniczych okolicach województw: wrocławskiego i zielonogórskiego, w woj. war-

szawskim i poznańskim oraz nad morzem i w Szwajcarii Kaszubskiej.

W województwie gdańskim na placówki kolonijne i obozy letnie przeznaczono ponad 180 obiektów. Nim rozpoczyna się wakacje, będą one wyremontowane oraz odpowiednio wyekwipowane. Niebawem komisje społeczne przy zakładach pracy i szkołach rozpoczną kwalifikowanie dzieci na kolonie. Dzieci zostaną szczegółowo zbadane przez lekarzy.

Odpowiednio przeszkolony personel wychowawczy kolonii, składający się z nauczycieli, absolwentów liceów pedagogicznych, studentów wyższych szkół pedagogicznych oraz aktywistów społecznych, zapewni dziesiątkom tysięcy dzieci troskliwą i fachową opiekę w czasie letniego wypoczynku.

E. Melech, Sopot



Tak było w ubiegłym roku.

ZNAJDE CZY NIE ZNAJDE?

Przez cały styczeń, luty i marzec regularnie odwiedzałem księgarnie i kioski „Ruchu” w naszym mieście w poszukiwaniu rozkładowanego kalendarza „Szpilek”. Niestety nadaremnie.

Wreszcie w końcu marca kalendarz zdobyłem. Uszczęśliwiony wróciłem do domu i zabrałem się do przeglądania. Zaczęłem od „spisu treści”. Wybrałem na „pierwszy ogień” Minkiewicz „Opowiadanie samby”, str. 204. Nie przeczytałem go jednak, a to dlatego, że w kalendarzu nie ma w ogóle tej strony. Numeracja urywa się na stronie 198 i rozpoczyna dopiero na 209. Nie zrażony, postanowiłem przeczytać coś innego. Może Shawa? Miałem widocznie pecha, bo znów zabrakło stron od 128 do 145. Znalazłem za to zdublowane strony od 210 do 224.

Przyznam, że wieczór spędzony nad tym dziwnym egzemplarzem kalendarza „Szpilek” był dość atrakcyjny. Wyszukiwałem coraz to nowe pozycje w spisie treści i za każdym razem miałem lekki dreszczyk emocji: znajdę czy nie znajdę.

Mimo tych emocji proponuję jednak, by na przyszłość kontrola techniczna wy-

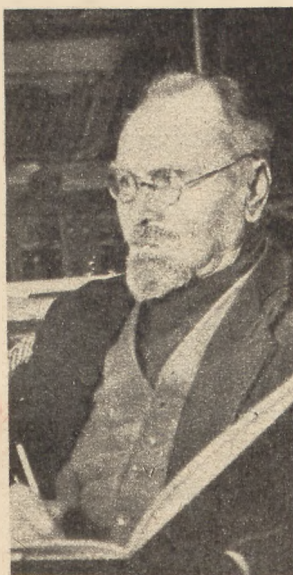
dawnictwa sumiennie spełniała swe zadania i nie podrywała autorytetu tak poważnej instytucji jak RSW „Prasa”, która wydała ten kalendarz.

St. Czubański, Żnin



W tym egzemplarzu (do obejrzenia w redakcji) kryją się zagadki nie do rozwiązania...

KRZYŻ ZASŁUGI ZA MEDALE



Prof. Jan Wysocki

W roku bieżącym obchodzi 60-lecie pracy artystycznej wysoko ceniony artysta-medallier Jan Wysocki.

Mistrz urodzony w Mysłowicach na Górnym Śląsku studiował w Monachium, Paryżu i Rzymie. Kolekcje jego prac — przepięknych plaket i medali zdobną muzea nie tylko polskie, ale i praskie, paryskie, antweperskie, monachijskie i inne.

Prof. Wysocki za zasługi położone na polu sztuki odznaczony został w ub. roku Złotym Krzyżem Zasługi.

E. Wichura, Stalinogród

TU MIESZKAŁ KIEDYŚ MATEJKO

Ten skromny, drewniany, zwany „Koryznówka”, dworek w Wiśniczu Nowym w pobliżu Bochni, nie byłby godny uwagi, gdyby nie fakt, że przebywał w nim przed laty Jan Matejko.

Widocznie pięknie położone dworku i okolicy, zabytkowy charakter miasteczka i sąsiedztwo starego zamku obronnego z XIV wieku, ścigający tu wielkiego malarza. Może właśnie tu powstawały pierwsze wizje je-

go wielkich płócien historycznych?

Dziś stary zamek w Wiśniczu Nowym gruntownie się odnawia i w przyszłości będzie tam zapewne muzeum. Nikt jednak, jak dotąd, nie pomyślał, że stary domek, w którym mieszkał ongiś Jan Matejko, trzeba również odremontować, poddać konserwacji i uchronić przed zniszczeniem.

J. Granecki, Kraków



ZABAWKI Z ODPADÓW



Taki samochodzik chce mieć chyba każde dziecko.

NA ZŁOŚĆ MAMIE

Malutkie lwiatko, które z apetytem opróżnia zawartość butelki — jak to widać na zdjęciu — przyszło na świat przed paru tygodniami w poznańskim ogrodzie zoologicznym. Radość była z tego powodu wielka, ale i kłopot nie mniejszy, gdyż mama-lwica nie okazywała najmniejszego zainteresowania swą progeniturą.

Wychowanie lwiatka na sztucznym pokarmie — to siława niełatwa. Simba (tak nazwano małego drapieżnika) jak dotąd czuje się świetnie, o czym świadczy dobry sen i doskonały apetyt.

M. Masłowska, Poznań
Fot. K. Przychodzki



Simba na razie zachowuje się jak mały kocia.

150 TYS. KILOMETRÓW DLA „ŚWIATA”



Z wielką przyjemnością możemy zawiadomić Czytelników o sukcesie Mieczysława Gładkiego — kierowcy naszego samochodu redakcyjnego. Ob. Gładki pracuje od r. 1947 w RSW „Prasa”, a w naszym tygodniku od chwili jego powstania i właśnie w ubiegłym tygodniu osiadał na samochodzie marki „Pobieda” 150 tys. kilometrów bez naprawy głównej.

Mieczysławowi Gładkiemu, który jest wzorowym i bardzo uprzejmym (to ważne!) kierowcą, życzymy dalszych sukcesów na troskliwie pielęgnowanej „Pobiedzie”.

„ŚWIAT”

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

J. DULOVITS — METODA PRACY

Naświetlenie i wywołanie negatywu, czynności ściśle z sobą związane i tak istotne w tworzeniu obrazu fotograficznego, stanowią problem trudny, wymagający ustalenia i stosowania określonych metod pracy. Metody te mogą być różne; wielu znanych autorów podręczników podaje odmienne drogi wiodące do tego samego celu. W powodzi przeróżnych rad, przepisów i recept należy wybrać sobie najbardziej odpowiadającą w wyniku końcowym sposoby, opanować technikę pracy, wypróbować działanie i wreszcie trzymać się ściśle ustalonej metody.

Oddajmy dziś głos znanemu artyście węglerskiemu. Jeno Dulovits'owi. Oto fragmenty opisu techniki jego pracy, podane w książce „Meine Technik — meine Bilder”, wydanej w języku niemieckim w r. 1952.

Autor hołduje zasadzie, iż w fotografii malobrazkowej należy obficie naświetlać i miękko wywoływać, natomiast przy powiększaniu wydobyć potrzebne kontrasty przez stosowanie energicznie działającego wywoływacza i dobór odpowiedniej gradacji papieru. Dulovits nie waha się naświetlać 25 razy obficie, niżby wymagało tego uzyskanie dość silnie krytego negatywu, natomiast wywołuje miękko i stosunkowo krótko, uzyskując niską wartość „gamma” i silne wyrównanie kontrastów negatywu.

Dulovits stosuje wywoływacz metolowy o następującym składzie: metol — 4,8 g, siarczyn sodu krystaliczny — 180 g, pyrosiarczyn potasu — 6,4 g, wody — do 1.000 cm sześć. Zaleca przy tym użycie wody przegotowanej i ostudzonej do 14 st. C, gdyż powyżej tej temperatury w roztworze po rozpuszczeniu siarczynu (nawet chemicznie czystego) może powstać biały osad na dnie naczynia.

Wywoływacz ten, według zapewnienia autora, daje nader drobne ziarno, silnie wyrównuje kontrasty, jednakże roztwór po użyciu jest stosunkowo nietrwały. W przeciągu 2 godzin w 500 cm sześć, roztworu wywołać można z jednakoowo dobrym skutkiem 5 filmów, przedłużając przy każdej taśmie czas wywoływania o 1/4 minuty. Używany wywoływacz daje się przechowywać w napełnionej po korek brązowej butelce ok. 10 dni.

Czas wywoływania: 6 do 10 minut. Dulovits zaleca przy tym kontrolowanie przebiegu wywoływania przy zielonej lampie ciemnicowej. Stosowane przez niego odczulanie filmu jest w naszych warunkach niemożliwe z braku zieleni pinakryptolowej.

Przy sporządzaniu utrwalacza Dulovits nie trzyma się ogólnie przyjętej recepty, lecz sporządza roztwór tak silnie nasycony, iż na dnie kuwety pozostają nierozpuszczone już kryształki tiosiarczynu sodu. Pyrosiarczynu potasu syple zaś tak wiele, iż roztwór zaczyna wydzielać charakterystyczny ostry zapach. Czas utrwalania negatywów — 4 do 5 minut. Płukanie 30—40 minut w bieżącej wodzie.

NA WSI WESELE

MARIA DĄBROWSKA

Ilustrował: ALEKSANDER KOBZDEJ

W SOBOTĘ przed trzecią niedzielą października już od południa goście zaczęli się zjeżdżać na wesele Zuzi Jasnocianki. Pierwsi przybyli z najdalszej strony, bo aż z Wrocławia, Michał Boguski i Aniela Pawoniakowa, brat i siostra Małgorzaty Jasnocianki. Pawoniakowa przewiozła ze sobą dwoje dzieci, Felka i Elżunię, starszych cokolwiek od jutrzejszej panny-młodej, która liczy sobie dopiero lat siedemnaście. — A Helenka? A Stasiak? — dopomina się Małgorzata o bratową i szwagra. — A twoje dzieci, Michaś, nie przyjadą?

Nie przyjadą. Tak się złożyło, że każdemu z nieprzybyłych coś ważnego przeszkodziło zwolnić się z pracy; a Helenka, jak zwykle, słabuje.

Małgorzata wita gości uszczęśliwiona, lecz zarazem o mało nie spała się ze wstydu; w domu jeszcze nic do wesela nie gotowe, ręce pełne roboty. Zuzia i jej naręczony, Czesiek Ruciński, kręcą mięsio na kotlety; przy kuchni krzątają się, prócz Małgorzaty, jej druga siostra Paulina Szatkowska i bratowa Leokadia, która jest za najstarszym Boguskim, Łukaszem. Wszystkie trzy są już mniej albo więcej po pięćdziesiątce, nieduże, chude, mocno szczerbate, ale zwinne i krzepkie, robota w rękach im się pali, ciężkie gary przestawiają bez wysiłku, jak piórko. Małgorzata czuwa nad warzącymi się nogami wieprzowymi i wołowymi, przyrządza nadto dwa wielkie schaby do wstawienia w piekarnik pod kuchnią. Leokadia odrywa z obrzymiej misy kęs po kęsu ciasto i urabia z niego na dłoni pączki, Paulina smaży je w smalcu i obtacza w białą obłoczkę cukru-pudru. Dwie wypieczone potężnych rozmiarów stolnice pełne są kulek ciasta, usmażone i ocukrzane pączki piętrzą się w blaszanej wanience. Podłoga zatłuszczona, zaśmiecona odpadkami, zaproszona mąka, mały bury kot wzdrażającym się nosem wywachuje, co by z niej zjeść lub zlizać.

— Co ja poradzę! Nie zdążyłam i nie zdążyłam — usprawiedliwia się Małgorzata przeprasząc żalonym uśmiechem i promiennymi szarymi oczyma. — Cztery dni się męczymy, czwartą noc już nie śpimy, a końca roboty nie widać. I nie widać!

Felusz Pawoniak spojrzawszy po izbie, w której sporo latek się chował, mówi zdziwiony:

— Zapomniałem, że tu tak nisko... Mnie się zdawało, że to jest większe i jaśniejsze mieszkanie. — I śpiesznie dodaje: — Ale i tak miło. A jeszcze jak się posprząta...

Przyjemny z niego chłopiec, na takiego się zresztą od dziecka zapowiadał. Ubiór na nim staranny, jasne włosy gładko do góry zaczesane, twarz miłąca, pogodna, obojęcie uważające, by komu w czym nie wadzić, nie uchybić. Głowacz z niego, egzaminy jakieś nadzwyczajne pozdawał, na uniwersytecie się uczy. Małgorzata nie bez oszołomienia przygląda się eleganckiej rodzinie. Michał to już dziewięć lat jak mieszka w Wrocławiu, zresztą z dawną jest miejskim człowiekiem, szesnastkę lat miał, gdy wziął go do siebie na naukę elektryka, krewny tu jedynych ze wsi; a teraz Michał wyszedł na urzędnika, kieruje miejskim magazynem sprzętu elektrycznego. Lecz Pawoniakowie rok temu dopiero, za namową Michała, przenieśli się do Wrocławia, odpisawszy dom i gospodarstwo, które mieli z reformy rolnej po Niemcu-koloniście, na Małgorzatę i Szczepana Jasnotów; a patrząc, co się z Anieli Pawoniakowej i z jej dzieci przez ten rok zrobiło! Anieli zawsze była z rodzeństwa najładniejsza, lecz po zamęściu, w czarnej wiejskiej robocie i ona zordynarowała, zmarniała. A w mieście od razu takiego glancu nabrała, pani z niej po prostu poważna i jeszcze ładna, choć lata swoje ma. Felek już student, Elżunia — panna sklepowa. Tylko Elżunia coś nosem kręci, patrzy wołoko, jakby pierwszy raz w życiu weszła do tego mieszkania.

— Gdzie tu się będzie tańczyć? — powątpiewa. — Tu się nikt nie pomieści. I takie dziury w podłodze... Jeszcze się zarwie...

— Nic się nie martw, Elżusiu — uprasza Małgorzata. — Dziury się do jutra załatą, przez noc się podłogę podstempluje. I tu się będzie tylko jadło. Tańczyć będziecie u matki pana młodego. U pana Cześka.

— U Cześka!? Rozgrzana, w cienkiej sukience mam tak daleko chodzić?

— To niedaleko, Elżusiu! Nie pamiętasz, gdzie Rucińscy mieszkają?

Małgorzata zakłopotana patrzy na siostrzenicę. Jedyna spośród znajdujących się w chałupie pulchna, tęgawa, oczy wypukłe, brązowe niby świeżo wylusknięte lśniące kasztany, włosy po trwałej ondulacji kręcą się jak runo czarnej owcy. Modna z niej panna, bluzeczka, spódniczka, lakierowany pasek, pończoszki stylony — wszystko szyk wielkomiński. Ale że w sklepie towar wydaje, to już jej się tu wszystko tak nie widzi? Felek też odmieniony, a przeciw swój pozostał, serdeczny, uśmiechnięty, nie rozgrymasił się w mieście. I tak samo Anieli; co się odezwi, zaraz widać, że wszystko dobrze przyjmie, zrozumie, przebaczy, nawet i ten bałagan w domu dobrze przyjmie.

Pomimo bałaganu Pola Szatkowska i Łudzka Boguska, nie odrywając się z pozoru od pączków i nie odcinając Małgosi od gości, już przyrządziły herbatę, częstują gości świeżymi pączkami, kaszaną kiszka, słodkim ciastem. Goście piją słabutką słomkowego koloru herbatę, chwalą kiskę, że takiej za żadne pieniądze w mieście się nie dostanie, opowiadają o podróży. Owszem, dobrze jechali, nie było tłoku, tylko połączenie ze wsią Pawłowice niedobre. Do samej Warszawy trzeba kolejną dojechać, a zaś autobusem nazar się wracać do przystanku Olszówka. A jadąc od Olszówki ze Szczepanem zmarli trochę, wiatr był silny i deszcz ich nawet zmoczył. Więc o pogodzie, czy w Pawłowicach tak stałe? Bo u nich we Wrocławiu cały październik trzyma upał jak latem, jasne słońce, pogoda że aż miło. Szczepan Jasnota, który gości przywiózł swoim gumowcem zaprzężonym w gniadego wałacha, stoi w progu, bo jeszcze musi pójść konia okryć derką i nakarmić; za dwie godziny wybiera się znowu na stację autobusową. Ale żał mu porzucić gości, zwleka, słucha, co mówią o pogodzie, i zapewnia, że w Pawłowicach tak samo było do dziś dnia ładnie, dopiero dzisiaj pogoda się popsuła. Młodsza córka Jasnotów, dwunastoletnia Jadwisia, przenikliwym głosem „przysięga“, że tatuś dobrze mówi, bo jeszcze wczoraj było ciepło i ładnie na dworze. Goście przytakują, ale nie dowierzają, „tak — mówią — zimną macie pogodę“. Szczepan oświadcza, że wobec tego herbaty nie wystarczy, trzeba się napić czegoś bardziej rozgrzewającego. Znajdzie się w domu ten liter dla gości poza ogólnym przyjęciem.

— Matka — zwraca się pokornie do żony — daj soku.

I wypijają po czarce ulubionego napoju — wódki z sokiem.

Szczepan Jasnota jest o cztery lata młodszy od żony, ale wygląda starzej niż Małgorzata, która do dziś dnia postać ma kształtną jak dziewczyna i nawet zmarszczki koło ust i szarych promienistych oczu nadają jej twarzy wyraz raczej stroskany niż stary. Szczepan jest kościsty i wysoki, twarz ma zapadłą, ziemistą, źle ogoloną, w gębie więcej dziur niżli zębów, kanciata szczeka i mocno wystająca broda nadają mu wygląd człowieka energicznego. Lecz wejrzenie jego nie-

Motto

Oj, jedz, pij, kiedy dają.
A tańcz, kiedy grają,
A uważaj, kiedy dzwonią,
A uciekaj, kiedy gonią.

(wiejski przysłow do tańca)

dużych czarnych oczu jest raczej lękliwe i potulne, a szerokie usta są albo uchylone w gapiowatej zadumie, albo rozciągnięte w dziecinnie uszczęśliwionym uśmiechu. Małgorzacie wiadomo, że to wejrzenie i ten uśmiech oznaczają prawdziwego Szczepana, człowieka, co przez szesnaste lat nie potrafił rodzinie zbudować domu. Tylko dzięki Pawoniakom nie tłuką się już po najmowanych od ludzi mieszkaniach, a ich grunty z czterech hektarów gołej ziemi urosły do dziesięciu hektarów z sadkiem i budynkami. Ale to kłopotliwe bogactwo, bo Szczepan ma złe zdrowie; cała wiosnę pluł krwią, niedawno wrócił do domu z trzymiesięcznego pobytu w sanatorium. Uważa się za wyleczonego, ęmi papierosy, pije wódkę i także od czterech nocy prawie nie śpi; same wyroby z ubitego wieprza zajęły im dwie doby czasu. A teraz nim wyjedzie do autobusu, z którego spodziewa się przywieźć swoją osiemdziesięciosześcioletnią matkę, musi gościom zachwalić pannę młodą.

— Ale ładną mam córkę, prawda? — pyta rzewnie. — W swoją mamę się wdała!

— Tak, podobna — przytakują goście, ale po cichu myślą, że Zuzi daleko do tej Małgorzaty, jaką z młodości pamiętają. Ani tego wejrzenia promienistego, mokrą jak liść w rosie skąpany, ani tej różności twarzy, ani tego chwytającego za serce uśmiechu. Zuzia kształty ma foremne, wzrost nieduży, ruchy stanowcze i sprężyste. Dolna warga i broda jak u ojca, wystają trochę naprzód, oczy niebieskie duże i ładne, ale wejrzenie suche bez blasku, brwi czarne, piękne, policzki blade, chociaż jędrne i gładkie. Cała osoba Zuzi ma w sobie coś jakby za wcześnie dojrzałego, nad wiek pewnego siebie i trzeźwego. Zuzia podoba się chłopcom. Czesiek Ruciński jest już jej drugim naręczonym. Bardzo przystojny z niego chłopak, smukły, giętki, twarz pociągła, smągla, lecz świeżej barwy, oczy piwne, ciemny szatyn, czupryna, jak teraz między kawalerami moda, sterczy mu wysoko czapą, a gdy się młody schyli, spada długimi zwojami, z których bez mała warkocze można by splatać. Czesiek nie wygląda na swoje dwadzieścia cztery lata, gdy Zuzia przeciwnie — starszą się zdaje nad swoje siedemnaście. Oboje państwo młodzi są nadzwyczaj niemowni. „Owszem, niczego sobie — myślą goście — ale nie wiadomo, o czym z nimi pogadać“. Zajęci pewno swoją sprawą, nie byle jaki to przecie moment życia, może też zajęci są po prostu robotą. Zresztą skończyli właśnie z mięsiwem, oddali półmich z miazgą mięsą w ręce ciotek, a sami, zabierając Elżunię i Felusia, wychodzą na wieś. Trzeba jeszcze się przejść po sąsiadach, różnych rzeczy na jutro dopóczyć.

Starsi teraz się rozgadali. Paulina i Leokadia, nie przestając się związać przy kuchni, wypytują o Wrocław. Im jednym z obecnych w izbie całe życie upłynęło w Pawłowicach, bo i Jasnotowie młodość spędzili w mieście, i to w Warszawie, dokąd one czasem tylko na krótko wyjeżdżały. Pola Szatkowska jest za rymarzem, gruntu mieli jej rodzinnego co kot napłakał, ale reforma rolna przyrzuciła im ziemi; przez te dziesięć lat nowych rządów i warsztat rymarski postawili, i dzieci ładnie wychowali, wszystko już do miast poszło, prócz najmłodszego, który na wsi chce zostać. Po Małgorzacie i Anieli od razu widać, że siostry; Pola jest inna. Czoło ma nie strome, lecz wypukłe. Kiedyś policzki były tak samo wypukłe, i szyja była wypukła, długa, pełna i biała. Teraz wiórek się z tego wszystkiego zrobił, ale serce w tym wiórku żarzy się zawsze do samo, przepełnione tęsknotą. Za panieńskich lat, gdy we dworze pawłowickim pojawił się malarz, który ją malował, i mówił, że jest podobna do średniowiecznej Madonny, Pola tęskniła za miłogoczym w tej nazwie własnym, innym jakimś, wspaniałym losem, choć nie wiedziała, co znaczą słowa „średniowieczna Madonna“. Potem się zeszyła z rymarzem, Janem Szatkowskim, i okazało się, że rymarz miał też serce tęskniące, tylko że nie tak o los własny mu szło, ale o inne życie całej wsi, kraju, a nawet świata. Kiedy po męczarniach drugiej wojny światowej przybyli do wsi ludzie co inne, lepsze życie ogłaszali, Szatkowscy od razu się do nich przyłączyli. Teraz od lat już byli w partii, długo chodzili jak nowonarodzeni, ale ostatnimi czasy jakoś zmarnotnieli, przygaśli, coś w nich się załamało, a nie wiedzieli co, tyle że serca znów się przepełniły tęsknotą za innym, lepszym życiem. Więc Pola słucha chciwie opowiadań Anieli, bo może tam gdzieś daleko wszystko nie tak marnie wychodzi, jak w Pawłowicach.

Leokadia Boguska ma nos wygięty jak dziób jastrząbka, usta pod nim jeszcze pulchne, choć otoczone bruzdami zwiędłych policzków; znać w niej dawną urodę, niezwykłą jakąś i trochę srogą. Leokadia pochodzi z dużych gospodarzy, ale że liczne miała rodzeństwo, przypadło na nią niewiele gruntu. Za Łukasza wyszła z miłości, rodzice go nie chcieli, gdyż Boguscy to była bieda z nędzą — dwie morgi na sześćioro! Tymczasem Łukasz okazał się skarbem. Od dziecka znał się na murarce i z tej murarki nie tylko na gruncie żony budynki wystawił, ale ziemi cokolwiek przykupił, ogród owocowy założył. I do dziś dnia zarabia jako murarz, teraz głównie po miastach, bo po wsiach mało budowano, ludzie mówili, że nie warto. Łódzia i Łukasz liczą się dziś do zasobnych gospodarzy. Niedawno, widząc ich dobre rządy, stara bezdzietna ciotka Dobrzyńska zażywocie w ich domu przepisała na Łodzię swoje gospodarstwo, na którym zaraz osadzili najstarszego syna, żonatego już i dietnego Jacka. Leokadia żadnym obrotem czasów nazbyt się nie przejmuje. Nie wymaga od świata łask ani wypomina mu krzywd, nikomu też losu nie zazdrości ni swego nad inne nie wynosi; po prostu żyje, dosyć nawet lawusie żyje. A o Wrocławiu słucha, bo ciekawa jest, owszem, jak ludziom żyje się gdzie indziej.

Anieli Pawoniakowa ręce, jak ma w zwyczaju, na piersiach założyła, głowę, jeszcze ciemnowłosą, przechylała na bok i niegłośno, pomalutką opowiada o ich wrocławskim życiu. Małgorzata słucha z sercem tłukącym się w piersi. Taka była niespokojna, czy Pawoniakom się powiedzie, czy nie będą żałować, że się pozbyli gospodarstwa. Ale jak im się miało nie powieść, Stacho Pawoniak marnował się tylko na wsi. Cieśla i tokarz był z niego wysmienity, a też i człowiek zaradny; choć gruntu własnego przed reformą nie mieli, na oddzierzawionym od Łukasza splachetku klitczkę zgrabną jak cacko na warsztat i mieszkanie sobie postawił. Nic dziwnego, że się na nim we świecie poznali. Przez Michała, zasiadłego wrocławianina, dostał się do sławnej fabryki wagonów, teraz kursy jakieś ukończył, jeszcze lepsza przyszłość się przed nim otwiera.

— To dobrze wam w tym Wrocławiu? — chce się upewnić Małgorzata.

— Jak im nie ma być dobrze? Przecież to ani porównania z tutejszym życiem, kochana. To miasto! I jeszcze jakie miasto! — odpowiada za siostrę Michał.

— Mówią, że bardzo zrujnowane — wtrąca Leokadia obsypując mąką kotlety.

— Zrujnowane. Ale te resztki to jeszcze jest wielkie, wspaniałe miasto — i przez chwilę Michał z Anielą jedno przez drugie chwalą Wrocław.

Michał Boguski jest człowiekiem średniego wzrostu, dziarskiej postawy, otwartej, przyjemnej twarzy o szarych, jasno patrzących oczach i przyszytych nad czołem, srebrzącej się już, płowej czuprynie; zgola człowieka z niego udatny, a mają go i za człowieka niegłupiego; Małgorzata lubi go najwięcej ze swych braci, a z jego żoną Helenką od młodych lat żyły ze sobą jak siostry.

— Wszystko dobre, tylko to niedobre — skarży się więc — że tak daleko mieszkacie. Kiedy ja tę Heluchnę zobaczę, kiedy? Powiedz mi o niej, Michał. Co jej jest, że choruje? Czy zawsze taka śliczna jak była?

— Serce ma chore. Nie wiem, czy zawsze śliczna, tylko wiem, że zawsze ją kocham. Na rękach bym ją nosił! Chociaż ze mnie jeszcze kawaler, że hoc, hoc! — zaśmiał się nagle Michał i nawet zatańczył na miejscu, przytupnąwszy ochotczo. — Ale i na tobie, Małgoska, lata widać — obrócił siostrą w kółko. — Sucharek z ciebie się robi!

— A ja tam swoich lat nie czuję. Nie czuję i nie czuję! — promienieje Małgorzata, rada, że Michała żarty się trzymają jak niegdyś. — Szesnaście lat mam, jak się kto pyta, i ani roku więcej! Ani roku!

— Dla mnie Małgosia tak samiotko wygląda, jak wyglądała, kiedy się z nią żeniłem — obraża się Szczepan. — Twarz ma tę samą, oczy ma te same, ten sam wzrost, ja nic innego nie widzę tylko że ta sama, co była.

Jadwisia wpada wołając swym hałaśliwym głosem:

— Tatusiu, tatusiu! Trzeba już jechać po babcię!

— Moja mamusia przyjeżdża na wesele — objaśnia Szczepan — Co my tam o swoich latach! Moja mamusia ma osiemdziesiąt sześć lat i wybrała się w taką drogę aż z Warszawy, spod Mińska.

— Szczepan, jedź, spóźnisz się na autobus — ponagla Małgorzata. — Matka Szczepana jeszcze nigdy u nas nie była — zwraca się do przyjezdnych.

— Czekaj, Szczepan — zatrzymuje szwagra Michał Boguski. — Toć i ja pierwszy raz widzę was w tym domu na nowym gospodarstwie. Grzmotnąłbym z tobą kielicha na nowym progu. Toście się bali kołchozów, a tu kulakami jeszcze zostaniecie w tym państwie naszym ludowym.

— Nieprawda! — Małgorzata się zaperza. — Tamte nasze cztery hektary to już na Zuzię odpiszemy, a czy cztery, czy dziesięć, to ja tyle wiem, że tak samo od

z daleka i nikt jej we wsi nie znał. Później okazało się, że Agnieszka jest rzadna, pracowita i przyjemna w obejściu; dzieci z pierwszego małżeństwa wykierowała na szkolowanych ludzi, pospłacała, została sama z Grzegorzem na gospodarstwie niedużym, lecz w którym wszystko chodziło jak w zegarku. Grzegorz był zawsze trochę niemrawy i potrzebował takiej właśnie żony, co by mu poniekąd matkowała i w garści go trzymała.

Agnieszka nie poskarży się i nie pokaże po sobie, że zmarła w drodze. Wszystkich na powitanie obejmuje, całuje, każdemu powie coś miłego, do kota nawet się uśmiechnie: „Ladnego, macie kotka”. Z zawinięcia wyjmie zabitego koguta i dorzuci go do patroszonego przez Małgorzatę drobiu. I nie tylko dorzuci, lecz już sobie znalazła drugi stołeczek, przysiadła do skubania.

Znowu słychać odgłos kopyt i klekot wozu pod oknem; teraz to Szczepan! Wszyscy się porwali witać babusię, ale Szczepan wrócił sam i strapiiony. Spóźnił się ździebko do autobusu i już nikogo na przystanku nie zastał. Albo i tym autobusem nie przyjechali, albo nie czekali, tylko poszli piechotą. Ale którą? Po drodze nikogo nie spotkał. Zatraskali się domowi o babcię starowinę, choć przecie chyba nie sama wyjechała, wszyscy z rodziny Szczepana byli na wesele prosieni. Dla potiechy zaczęło sobie opowiadać różne, szczęśliwie zakończone przygody starych ludzi w podróży. Grzegorz Boguski przepija ze Szczepanem, żeby się rozgrzać.

— Szczepan, gdzie my będziemy nocować? — pyta zdenerwowany. — I gdzie ja kopia postawie? Deszcz idzie na noc albo mróz. Na taki czas nie będę zwierzęcia trzymał na dworze.

Szczepan patrzy potulnie, wyszczerza resztki żółtych zębów w dzieciennie uszcześliwionym uśmiechu.

— Nic się nie bój. Grzesiu. Znajdź się i gdzie spać, i gdzie postawić konia — uspokaja frasobliwego szwagra, chociaż sam jeszcze nie wie, gdzie ich pomieścić.

Małgorzata opowiada Grzesiowej cokolwiek zawożdżącym półgłosem, ile jeszcze mają roboty i jak się szarpnęli na to wesele. Tylko wódkę i piwo to pan młody funduje, ale czy na inne rzeczy mało tysięcy ków poleciało? A ich najteższy wieprzak, co im został po zdaniu świń na państwo? A wołowiny i nóg za przeszło sześćset złotych, nie licząc, ile się musieli po sklepach mięsnych nalatać, czasu natracić? A mąka na wypieki? A cukier, a dodatki? A zastawa wypożyczona w punkcie usługowym powiatowego miasteczka? A suknia ślubna, welon, pantofle? A sam ślub? W niedzielę po sumie ślub najdroższy. Wchodzi na to Elżunia Pawoniak w towarzystwie kilkorga młodzieży, a usłyszawszy o sukni, powiada:

— Kto teraz białą suknię sprawia do ślubu? Ja ślub w kostiumie będę brała.

Szczepanowi nie w smak idą opowiadania Małgorzaty.

— Matka, ma-atka, daj spokój. Szkoda gadać. Jak wesele, to wesele. Może to już ostatnie takie wesele na wsi. Teraz to tylko do urzędu pójdą i spokój. Niech tam Zuzia ma takie wesele, żeby ludzie popamiętali.

— Koszty! Koszty — wzrusza ramionami Grzegorz. — Jak ja pamiętam, to zawsze goście opłacali wesele. Przy oczepinach zbieracie co niemiarą.

— A kiedy oczepin nie będzie, młodzi nie chcą. Mówią, że takie obrządki to teraz tylko w radiu, w świetlicach przedstawiają — śmieje się Małgorzata, promienistym wejrzeniem przepraszając za niewczesną gadaninę o kosztach.

— A jak z tym ślubem, kochana? — zaciekawia się Michał Boguski. — Cywilny ślub już był?

— Właśnie, że nie było — po mgnieniu ciszy odpowiada nie bez przejęcia Małgorzata. — Urząd nie chce dać ślubu, że Zuzia niepełnoletnia.

— Jak to? Dają i niepełnoletnim — dziwi się Michał.

— Ta-ak — mówi Szczepan niepewnie i wstydliwie — dają, jak potrzeba przycisnąć. A tu nie ma takiego wypadku. Nasza Zuzia się szanowała... Wielkie rzeczy — dodaje — za pięć miesięcy, jak Zuzia skończy osiemnaście, to dadzą.

Michał na to, że owszem, ale żeby w swoim czasie nie przegapili, bo różnie na świecie bywa. I Aniela Pawoniakowa, zawsze rozważna, ostrzega:

— Nie mówię, żeby miało tak być, ale we Wrocławiu zdarzyło się u jednych, że młodzi wzięli ślub w kościele, młoda się dziecka doczekała, a mąż się rozmyślił i z inną wziął ślub cywilny. I dziecko tej kościelnej żony liczy się jako nieslubne. Bo podług prawa to tylko ślub cywilny jest ważny.

— To samo powiada Poli mąż — zatrważa się Małgorzata. — Ale on przysięgał na partię, to on musi tak mówić.

— Co tu partia? — zżyma się Paulina. — Janek mówi, co każdemu wiadomo.

— Ale nie straszcie, nie straszcie — cedzi pomału Szczepan, gapiowato się zadumawszy. — Zuzia nie za obcego idzie. Przyjdzie pora, to się wszystko załatwi. Patrzcie-no, matka pana młodego do nas leci! — dodaje żywszym tonem, spojrzawszy w okno.

W resztkach uchodzącego dnia widać za oknem zbliżającą się ku domostwu dużą, żwawą kobietę. Idzie z laską, lecz bardzo chyżo, nie podpierając się, tylko się od laski odsadzając w takich susach, jakby miała pod sobą klusującego konia.

— To Rucińska? — zdumiewa się Michał Boguski. — A cóż to jej się stało, że tak skacze? Ja bym jej nie poznał.

— Noga jej się popsuka — objaśnia Małgorzata. — Jeszcze we wojnę zaczęła na nią chorować, wtedy zaczęła, jak ciebie, Michał, Niemcy wywieźli do obozu. Potem jej operację robili, no i nic nie pomogło. Ale ona z tą chorą nogą tak hycza, że zdrowego prześcignie. Naprawdę!

Matka Rucińska wpada zamaszycie ze swą laską i z nogą w grube szmaciska okutaną. I wnet cała izba wypełnia się jej tęgim, schrypniętym głosem.

— Dobry wieczór całemu towarzystwu — woła. — Poznaję wszystkich czy nie poznaje? — wita się hałaśliwie z przyjezdnymi. — To będzie Grzegorz Boguski, a to Michał. Ej, panie, pana to już z szesnaście lat nie widziałam! Ale ja mam taką pamięć do człowieka, że choć się zmieni, to poznam. A to? Żona Grzegorza? Spod Błonia? Widziałam, jakieście państwo jechali, nie ma jeszcze i godziny. I już kobieta usiadła do skubania? Daj pani gęby, podobasz mi się pani! Ale co ja widzę? Nogi się dopiero warzą? Schab dopiero pieczenie? Pączki smażyć? I lawy! Lawy jeszcze nie pozbijane? Podłogi jeszczeście nie uszorowali? Kiedy wy z tym zdążyte? U mnie przed weselem to na czwartą po południu wszystko zawsze musiało być gotowe, posprzątane, tylko stoły ubierać i przyjęcie szykować. No, czterech synów żeniłam i córkę wydawałam, tom weselnej roboty zwyczajna. mam wprawę. Ludzie, ludzie, co to ja chciałam powiedzieć? Aha, przyleciałam, że mieszkanie wybielone, wypucowane, ławki dookoła poprzybijane, miejsce dla muzyki gotowe. U mnie tak! No, do widzenia państwu! Aha, co to jeszcze? Nawet proszków od bólu głowy w aptece nakupiłam, bo po wódcę to goście lubieją proszka takiego zażyć. Podłoga umyta, woskiem ją nawet sprószyłam, żeby lekko było tańcować. Spieszcie się na rany boskie z waszymi robotami, bo jutro rano, jak się wszystko zacznie jeździć, to dopiero będzie największy uwijantes!

Nikomiu nie dawszy przyjść do słowa i pogrążywszy wszystkich w osłupienie, matka Rucińska wyskoczyła z chaty, ale że zmierzch już zapadł, nikt nie dojrzał, choć wszyscy się ku oknu obrócili, jak sadyzi zgrabnymi skokami połą miedzą ku swojej sadybie.

„Na wsi wesele” wejdzie do tomu opowiadań Marii Dąbrowskiej pt. „GWIAZDA ZARANNA”, który ukaże się nakładem S. W. „Czytelnik”.



rana do nocy muszę robić, tylko jeszcze więcej muszę robić, żeby obstać! Jak się na skup wszystko co do ziarneczka odda... — Małgorzacie nagle się przypomniało: — Matko! Kury trza skubać! Szczepan, jedź już! Weź derkę dla babusi!

Wyprawiwszy męża wróciła do mieszkania dzwigając dwa koguty i dwie spasionie kury zwisające krwawymi łbami ku ziemi. Przysiadła na stołeczku. Leokadia podsunęła jej waniek z wodą. Pola — koszałkę na pierze. Jadwisia wbiega i wybiega, ciągle na kogoś wygląda, wciąż jej za mało gości, chciałaby już wesela.

— Nie kręć się — sarka Małgorzata. — Pierze mi rozdmuchujesz! Poszlabys lepiej Zuzi poszukać. Gdzie ci młodzi przepadli?

Ale Zuzia już sama nadchodzi z koszykiem pełnym wypożyczonych szklanych naczyń pod ciasto.

— Zimno — mówi — zrobiło się na dworze. Pewno nie będzie na jutro pogody.

Wszyscy spoglądają na zachodnie okienko chałupy. Widać za nim bufiastą, szarofioletową chmurę, spod której wyłazi słonce jaskrawo rozżarzone, chmury od jego blasku jeszcze bardziej ciemnieją.

W izbie przycicha. Trzy robotnice weselne zamilkły przy swych zajęciach. Słychać zgrzyt przesuwanych fajerek, bulgotanie warzonej stawy, szmer szarpanego pierza. Zuzia wzięła się do upiększania okien. Szyby zdążyła umyć jeszcze rano, a teraz doniczki z zielenią owija w białą skarbowaną bibułkę. paznokciem przeciągając po brzegach, żeby się ozdobnie powyginały. Aniela Pawoniakowa zgrabnie pomaga siostrzenicy, zawsze się nadawała do ładnej, cienkiej roboty. Z różowej bibułki kraja wąziutkie paski i nimi jak wstążeczką przewiązuje białe przydżiane doniczki wpół. Bibułka szeleści, Michał Boguski przygląda się temu i zabawia kobiety żarcikami. Na to rozlega się kołatanie wozu tak blisko, jakby wjeżdżano do izby.

— Szczepan? — dziwi się Małgorzata, lecz ze dworu dają się słyszeć przenikliwe okrzyki Jadwisi, a za chwilę mała już w izbie obwołuje:

— Wujcio Grzegorz i ciocia Jagusia przyjechali!

Wchodzi do izby Grzegorz Boguski, najmłodszy brat Małgorzaty, wysoki, postawny mężczyzna o niewesołej twarzy i cierpkim uśmiechu; włosy nad czołem, gdy zdjął czapkę, zaświeciły białe, nie wiadomo czy e, czy takie jasne. Wchodzi pierwszy, za nim dopiero żona, od razu widać, że starsza od niego, też dobrego wzrostu, twarz ma pobrużdżoną, nos długi, brodę spiczastą, ale włosy spod chustki wymykają się jeszcze czarne, a w twarzy wszystko się śmieje życzliwym rozradowaniem.

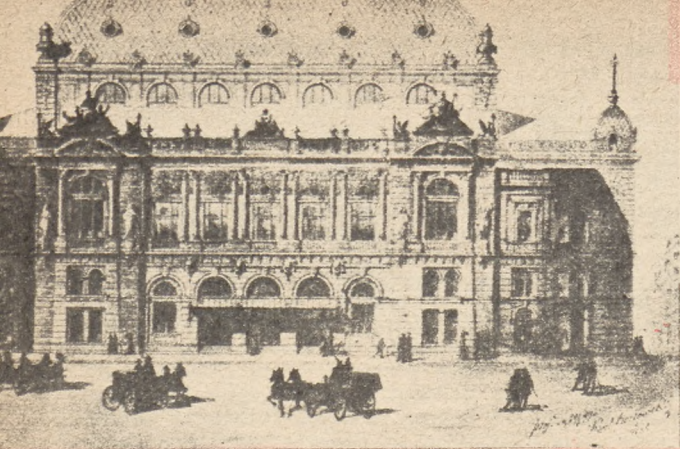
— Dzień dobry, jak się macie — mówi Grzegorz. — Ale my się wybrali! Mówiłem babie, że za lekko. Mróz chyba bierze na noc. Zmarzli my na sztywny gnat! Dwadzieścia kilometrów na taki ziąb! Michał!! O-o, ciebie-m to szmat czasu nie widział!

— Aleś już siwoń, bracie! — śmieje się Michał klapnąwszy Grzegorza na powitanie w łopatkę, zanim się ucałowali.

— On zawsze był taki biały blondyn, od dziecka, nie pamiętasz? — broni Grzegorza Małgorzata. — Może i trochę osiwiiał, ale u niego to nawet nie znać. Nie znać i nie znać!

— Jak nie miałem osiwieć? Żonę wziąłem starą, to się muszę do niej dopasować — powiada bez ceregieli Grzegorz, a mówi to trochę na złość, bo pamięta, ile mu w rodzinie nawypominali, że młodego dziewczątka nie poślubił.

— A kiedy Jagusia nie siwa! Nie siwa! Ona młodziej od ciebie wygląda! — ujmuje się z kolei za bratową Małgorzata. I zawstydzą się, bo i ona była kiedyś przeciwna ożenkowi Grzegorza, chcę potem sama wyszła za młodszego. Lecz z niej była wtedy gładka jeszcze panienska mimo niepierwszych lat młodości, a Szczepan też już nie był młodzikiem. A o Grzegorzu, wówczas młodzieńcu, mówili, że bierze starą, miernej urody wdowę i jeszcze dietną. Ale głównie, że



Nie szczędzono grosza ani wysiłku, żeby gmach Filharmonii Warszawskiej był bardzo wspaniały...

„PRZYTUŁEK MUZYKI NARODOWEJ...”

HISTORIA FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

WIEC jest znów na dawnym miejscu. I ludzie po dawnemu rzucają szoferom taksówek: „Do Filharmonii, na Jasną”, choć główne wejście odbudowanej Filharmonii już nie Warszawskiej, lecz — Narodowej znajduje się od strony ulicy Sienkiewicza. Czy nowy jej gmach jest ładny? Wewnątrz chyba tak, w wielu szczegółach. W każdym razie jest nowoczesnie prosty, wygodny, logiczny. Gorzej z fasadą zewnętrzną.

Gdy podchodziło do dawnej Filharmonii, nie można było mieć wątpliwości, że — tam się muzykuje. Fronton nowej ozdobiony został jednym więcej szeregiem pseudoklasycznych kolumn, które zmieniają dzisiejszą Warszawę w Rzym podejrzanej starożytności. Nie obeznany z miastem turysta mógłby sądzić, że za kolumnadą z ulicy Sienkiewicza pracuje bank, centrala eksportu ryb lub znajduje się łaźnia parowa. Rzeczą architektów i rzeźbiarzy jest namyślić, czy w obojętnej fasadzie nie dałoby się wkomponować np. pomników dwóch twórców polskiej symfoniki — Karłowicza i Szymanowskiego.

Jakkolwiek gmach wygląda, zapadł już w serca warszawiaków. Każde nowe wzruszenie muzyczne będzie z nim ludzi wiązało nowymi niemi wdzięczności. Lecz równocześnie zanikać będzie pamięć o gmachu dawnym. Dlatego — na pożegnanie — przypomnijmy historię starej Filharmonii Warszawskiej. Oprawdzą nas po niej cienie wielkich muzyków i odezwą się echa koncertów, poprzez które — jak po stopniach schodów — polska kultura muzyczna szła w górę i rosła.

W czasie odbudowy Filharmonii Narodowej znaleziono w jej fundamentach, pod dawnymi schodami wejściowymi, kamień węgielny umiejscowiony tam przed pół wiekiem. Wewnątrz był dokument, zmurzały i już nieco trudny do odczytania:

„W dniu 26 maja 1900 roku założony został niniejszy kamień węgielny pod budowę gmachu Filharmonii Warszawskiej, która ma być przytułkiem muzyki narodowej. Starania o pozyskanie ludzi dobrej woli dla tej sprawy, zebranie funduszy i ułożenie ustawy Towarzystwa Akcyjnego zostały zaczęte w dniu 14 stycznia 1899 roku; ustawa uzyskała sankcję rządową w dniu 21 lipca 1899 roku, pierwsze zebranie organizacyjne Akcjonariuszów odbyło się w dniu 6 lutego 1900 roku. Planu gmachu wykonał budowniczy Karol Kozłowski. Pierwszy Zarząd Towarzystwa składali p.p. Stefan ks. Lubomirski — przewodniczący oraz baron Leopold Kronenberg, Ludwik Grossman, Maurycy ordynat hr. Zamoyski, Władysław hr. Tyszkiewicz. Pierwszym dyrektorem zarządzającym był Aleksander Rajchman. Na pierwszego dyrektora muzycznego postanowiono powołać Emila Młynarskiego”.

Ani forma spółki akcyjnej, ani utytułowany zarząd — nie powinny dzisiaj nas dziwić. Wobec braku państwowości, instytucje społeczne w kraju musiały być organizowane pod pokrywką firm handlowych. Aristokracja i finansjera miały w swych rękach niemal cały wielki kapitał, a do jakiejś powszechnej zbiórki władze carskie z pewnością nie dopuściłyby, z obawy przed demonstracjami patriotyzmu. Trzeba zaś było dużo pieniędzy, bo 800.000 rubli w złocie. Dlatego budowa Filharmonii mogła zrealizować się tylko tą drogą, co nie przeszkadzało, że była ambicją całej kulturalnej Warszawy i ogólny entuzjazm dopingował fundatorów gmachu.

Skoro jego pierwszy kształt rysuje się już tylko w ludzkich wspomnieniach, opowiedzmy pokrótce, jak budynek wyglądał... — A więc nie szczędzono grosza ni wysiłku, żeby był bardzo wspaniały! Fronton zdobiła u szczytu alegoria „Apollo wieńczący muzy”, dłuta J. Jasińskiego. Po bokach tkwiły jeszcze dwie inne grupy, rzeźbione przez Wł. Lewandowskiego: „Muzyka symfoniczna” i „Muzyka swojska” (słowo „polska” było politycznie wzbronione). Pod „Muzyką symfoniczną” stali na wysokości pierwszego piętra Mozart i pochmurny Beethoven, pod „Muzyką swojską” — Chopin — w troche niespokojny, jak gdyby się rozglądał, czy dosyć ekwipaży zjeżdża na koncert (te cztery postacie rzeźbił Wł. Mazur).

Szerokimi schodami wstępowało do westibulu z kasami i dalej do ogromnej szatni, która — zgodnie z upodobaniami epoki — była kopia... wielkiej sali zamku krzyżackiego w Malborku. Idąc na pierwsze piętro trafiałeś wpraw do foyer z pięknie malowanym sufitem i rozwieszonymi portretami Kurpińskiego, Moniuszki, Wieniawskiego oraz Tausiga, pędzla znakomitego malarza St. Lenca. Ale dopiero sala koncertowa musiała zdumiewać ówczesnego przybysza swym bogactwem, choć nas dziś raziłaby przeładunkiem ozdobami. Była bardzo obszerna, na niemal 2000 słuchaczy, i przykryta stropem o trzech plafonach, z których rzucał się w oczy przede wszystkim centralny: Apollo, na chmurach, dyrygował koncertem muz i innych postaci z mitologii. Przy kotłach siedział nagi faun, a tuż za nim... Jegomość z brodką, w wizytowym żakiecie, w wysokim sztywnym kołnierzyku, opierający się o obłok laskierowanymi butami. Nie zwracał żadnej uwagi na Apollina i jego muzykę, lecz patrzył z góry na salę. To był autor plafonu J. Strzalecki, który — na wzór dawnych mistrzów niderlandzkich — sportretował się w niebie. W głębi estrady, obramowanej ciężkimi wiśniowymi kotarami, stały duże organy, jeden więcej dar hojnego protektora Filhar-

monii bankiera-barona-kompozytora Kronenberga. Dwa freski okalające estradę malował „sam” Siemiradzki, naówczas sława światowa. Ogólna tonacja sali koncertowej była wiśniowo-złota, ciemnową, bogatą, poważną.

Gmach Filharmonii wzniesiono na gruntach po zlikwidowanym szpitalu Świętokrzyskim, dokładnie w tym miejscu, gdzie była sadzawka w szpitalnym ogrodzie. A że zapal popędział, więc już w 18 miesięcy od położenia kamienia węgielnego, 5 listopada 1901 roku, odbył się uroczysty koncert otwarcia. Cóż to był za wielki dzień dla Warszawy, w której tylko sztuka mogła przemawiać językiem nadziei!

Jako pierwsza, w wykonaniu orkiestry i chóru, zabrzmiała kantata Zelenkiego „Żyj pieśń” (wszyscy tłumnie zebrani przekładali to sobie w duchu na: „Żyj Polsko!”). Potem wykonano Symfonię d-moll Stojowskiego i „Bajkę” Moniuszki. Teraz ludzie powstał z miejsc i wśród łez wzruszenia, krzyków i huraganu braw na estradę wszedł Paderewski. Grał swój koncert fortepianowy a-moll, za czym był „Step” Noskowskiego i jeszcze Paderewski z utworami Chopina. Biła 12 w nocy, gdy dopiero puszczono go z estrady.

Za inauguracyjnym koncertem poszły następne, jeden świetniejszy od drugiego. 8 listopada występował nasz wielki skrzypek Barcewicz i sławny tenor Bandrowski (w programie: „Śmierć i wyzwolenie” R. Straussa, Koncert skrzypcowy Czajkowskiego, Uwertura do „Śpiewaków norymberskich” Wagnera i Pieśń Waltera z tejże opery). 22.XI: M. Rosenthal (fortepian) i L. Auer (skrzypce). 6.XII: S. Kruszelnicka (śpiew) i E. Ysaye (skrzypce). 20.XII: Gemma Bellincioni śpiewała po raz pierwszy słyszaną w Warszawie arię z „Tosci”. Aby dać pojęcie, jakich Filharmonia Warszawska miała solistów w tym okresie rozmachu, przytoczę jedynie czterech skrzypków: Hubay, Kreisler, Sarasate, Thibaud.

Wszystkimi koncertami dyrygował Młynarski, a skompletował orkiestrę z nie byle jakich muzyków! Koncertmistrzem drugich skrzypiec był Grzegorz Fitelberg, jako drugi przy I pulpicie pierwszych skrzypiec grał Paweł Kochański. W braku odpowiednich sił miejscowych, koncertmistrze drzewa i blachy sprowadzeni byli z zagranicy, z wielu krajów, najwybitniejsi. Funkcje inspektora orkiestry pełnił Henryk Opieński.

Z czasem, w miarę dopływu wykwalifikowanych sił polskich, instrumentalistów zagraniczni jeli opuszczać zespół i wtedy dopiero wyszło na jaw, że to w Filharmonii Warszawskiej ukształtował się słynny później „Czeski kwartet im. Szewczyka” (B. Lhotsky, K. Pro-

haska, K. Morawetz, Fr. Waszka). W Warszawie przygotował sobie program i z Warszawy ruszył na podbój Europy i Ameryki.

W rezultacie Filharmonia Warszawska zyskała sobie bardzo szybko opinię jednej z pierwszych placówek symfonicznych tamtych czasów. Największe gwiazdy estrady uważały występy u nas za zaszczyt. W roku 1903 zjechał do Warszawy sędziwy Edward Grieg, by osobiście prowadzić swój koncert kompozytorski.

Niestety, ten piękny rozkwit miał wkrótce przejść w zgrzyty i niepowodzenia. Głównym motorem kolejnych, przykrych wydarzeń był A. Rajchman, początkowo dyrektor administracyjny, później faktyczny dyktator Filharmonii. Pozbawiony głębszej kultury, mierzył sukcesy placówki doraźnymi efektami: pełną kasą i zachwytem tłumu snobów. Nie chciał więc popierać polskiej twórczości symfonicznej, dla której społeczeństwo trzeba było zjednać drogą wytrwałej, mądrej a trudnej polityki repertuarowej.

W obronie bojkotowanych kompozytorów pierwszy wystąpił Karłowicz, na co Rajchman zareagował obraźliwą kampanią prasową. Ponadto, gdy w roku 1904 Karłowicz zorganizował w Warszawie swój koncert kompozytorski, Rajchman w jednym piśmie fachowym „Echo muzyczne”, którego był redaktorem, pominął to wydarzenie epokowe dla rozwoju symfoniki polskiej — mściwym milczeniem. W odpowiedzi Karłowicz zaciął się, wyjechał z Warszawy i oświadczył, że póki Rajchmana w Filharmonii, póty on nic swego nie pozwoli tam wykonać.

W roku 1905 Filharmonia Warszawska, jako jedyna prywatna a wielka sala, stała się terenem wieców. Stąd w gmachu powstawały zamieszki, co zyskało instytucji opinię „miejsca niebezpiecznego”. Sala Filharmonii jęła podczas koncertów świecić pustkami, a Rajchman — chcąc ratować złą sytuację — wpadł na pomysł najgorszy: wydzierżawienia przez Filharmonię równie zagrożonej materialnie Opery Warszawskiej. Konsorcjum filharmoniczno-operowe przetrwało tylko jeden sezon 1907/8; dało wprawdzie Operze polskie prapremiery „Salome” R. Straussa i „Śpiewaków norymberskich” Wagnera, lecz kryzys budżetowy obu instytucji pogłębił się.

Trzeba było dopiero publicznego protestu 28 najwybitniejszych muzyków polskich, ogłoszonego w maju 1908 r., żeby wreszcie tyle potężny, ile złowrogi Rajchman padł. Dyrektorem artystycznym Filharmonii



Na plafonie z orkiestrą Apollina — nagi faun, a za nim — jegomość w żakiecie i w sztywnym kołnierzyku...

został teraz H. Melcer, dyrygentem G. Fitelberg. Świat muzyczny odetchnął z ulgą, w sali koncertowej zaczęło się nowe życie. Jeden z czołowych krytyków warszawskich pisał w styczniu 1909: „Koncert Fitelberga, a więc: program w nim świetny, wykonanie pierwszorzędne, w sali rojno i nastrój podniesiony wrażeniem sztuki prawdziwej“.

Cóż z tego! Koncerty koncertami, a interesy spółki akcyjnej brnęły fatalną drogą, kierowane przez skrajnie nieudolnego dyr. Leśkiewicza. Wciąż jeszcze w tym samym roku doszło do skandalu nad skandalami — gmach Filharmonii Warszawskiej wystawiono na licytację... Od hańby przetargu placówka uratowana została raz jeszcze przez cierpliwych mecenasów Kronenberga i Zamoyskiego, którzy wyłożyli olbrzymią sumę 340.000 rubli na pokrycie długów spółki, orkiestrę zaś Filharmonii przejął na własny rachunek i ryzyko Wł. Lubomirski, protektor grupy kompozytorów „Młoda Polska“.

Ow rok 1909 jest znamienity i ostrzegawczy dla związków sztuki z handlem. Ostrzeżenie brzmi: nie można zakładać artystycznej nadbudowy na bazie obranej, chociażby z konieczności, lecz — fałszywie. Tylko przez 8 lat Sp. Akc. „Filharmonia Warszawska“ zajmowała się organizowaniem koncertów, po czym — w myśl przysłowia „natura ciągnie wilka do lasu“ — pociągnięty spółkę interesy bardziej dochodowe niż muzyka. Od roku 1909 w gmachu przy ulicy Jasnej istnieje sytuacja paradoksalna:

Sp. Akc. „Filharmonia Warszawska“ przestaje zajmować się koncertami, natomiast zakłada... 2 kina. Prócz tego ciągnąc zyski ze sklepów parterowych w swej posesji, z kawiarni i z osławionej podziemnej nocnej knajpy, do której wejście znajdowało się u stóp pomnika Mozarta. — I tak już będzie trwało aż do zburzenia gmachu.

Tymczasem w roku 1911, tj. po rezygnacji Lubomirskiego z prowadzenia koncertów, zawiązuje się zrzeszenie członków orkiestry filharmonicznej, które prowadzić będzie koncerty na własną rękę, wynajmując od Sp. Akc. „Filharmonia Warszawska“ salę koncertową w dniach wolnych od... seansów filmowych.

W tym miejscu należałoby przypomnieć beznadziejne, ze względu na ówczesną strukturę finansową instytucji, próby zorganizowania chóru Filharmonii. Pierwszy, 100-osobowy pod kierownictwem H. Opieńskiego, powstaje już w rok po założeniu placówki. Debiutuje znakomicie w „Potępieniu Fausta“ Berlioz, potem zyskuje sobie duże uznanie Griega, co nie przeszkadza, że w niespełna dwa lata jest zlikwidowany, z powodu braku funduszy. Następne chóry organizowane są kolejno przez H. Melcera i St. Kazuro. Zawsze z tym samym skutkiem — nieopłacalne handlowo, likwidować!

Wróćmy do chronologii wydarzeń. — Kiedy w roku 1911 Fitelberg wyjechał za granicę, na pierwszego kapelmistrza Filharmonii Warszawskiej zaproszono Zdzisława Birnbaum, doskonałego muzyka, z ogromnym temperamentem, porównywanego do Józefa Ozimińskiego. Tymczasem orkiestra, aby wesprzeć się materialnie, rusza w coraz częstsze tournée koncertowe. Odwiedza Lwów i Kraków, zapęcza się aż pod Rygę, gdzie zaskakuje ją pierwsza wojna światowa. Filharmonicy — poddani niemieccy i austriaccy, więc Wielko- i Małopolanie, są natychmiast internowani, a wśród nich także Birnbaum. Uszczuplona orkiestra, wróciwszy do Warszawy, ciężko boryka się z losem podczas wojny, ale — trwa.

Od roku 1918 z dziejami Filharmonii Warszawskiej wiąże się nazwisko ogromnie zasłużonego jej kierownika Romana Chojnackiego, który — z krótką przerwą — będzie sterował artystycznie placówką, aż do swej śmierci w roku 1938.

Dla docenienia pracy i zasług „Stowarzyszenia Artystów Orkiestry Filharmonii Warszawskiej“ w 20-lecie międzywojennym konieczne jest przede wszystkim zapoznanie się z bytem materialnym tej dzielnej grupy muzyków. — Wciąż najpierw przychodzi inflacja, potem kryzys gospodarczy, co nie wpływa dodatnio na stan kas koncertowych. Ciężkim uderzeniem w orkiestrantów jest film dźwiękowy. Dotychczas zarabiali ubocznie grą w kinach, odtąd muszą pracować w nocnych lokalach, w warunkach zabójczych dla kondycji muzyka. Dotacje rządu czy miasta są groszowe, a gdy przedstawiciele filharmoników udają się z prośbą o pomoc do premiera Sławoja-Skłodkowskiego, ten odpowiada: „Nam wystarczą orkiestry wojskowe!“ i pomocy odmawia. Przez wiele lat, aż do wojny, gaże miesięczne instrumentalistów Filharmonii wynoszą od 60 zł do 210 zł dla najbardziej wykwalifikowanych. — W dodatku kultura muzyczna społeczeństwa, nie kierowana i nie podsykana przez nikogo, zaczyna katastrofalnie się obniżać. Koncert w Filharmonii traktuje się jako udany, gdy wypełniona jest 1/3 część sali. A przecież...

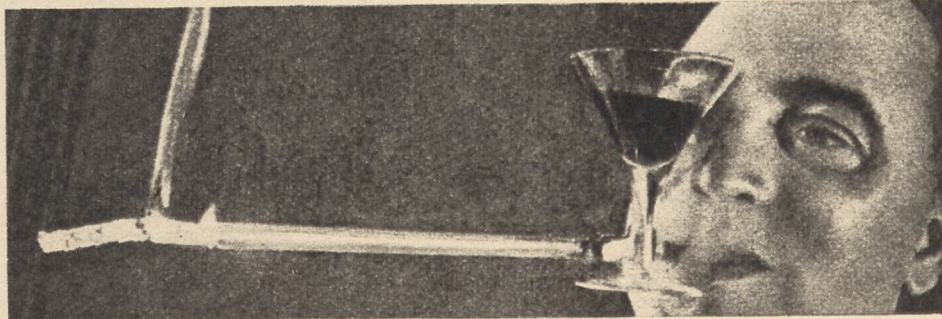
— A przecież dzielni artyści Filharmonii Warszawskiej nie idą na atrakcyjną tandetę. Przeglądając dziś ich repertuar międzywojenny nie można się nadziwić, jakim cudem w podobnych warunkach utrzymali placówkę na tak wysokim poziomie. Nie będę przypominał zbyt dobrze znanych nazwisk czołowych kapelmistrzów i wirtuozów krajowych, natomiast przytoczę gwiazdy światowego rynku muzycznego, które zjeżdżały w tym okresie na zaproszenie Warszawy. Dyrygenci: Abendroth, Asnermet, Casella, Cooper, Ferrero, Furtwängler, Georgescu, Ravel (prowadził swój koncert fortepianowy, który grała M. Long). Rodziński, Strawiński, Walter, Weingartner; pianiści — Backhaus, Cassadesus, Cortot, Gieseking, Horowitz, Hofmann, Prokofiew, Rachmaninow, A. Rubinstein, Sauer; skrzypkowie — Flesch, Heifetz, Huberman, Kubelik, Marteau, Zimbalist. Oto jakie talenty prezentowało „Stowarzyszenie Artystów Orkiestry Filharmonii Warszawskiej“ w latach niezmiernie trudnych kulturalnie i materialnie.

Z rzeczy polskich w programach Filharmonii widniały prawykonania całej kolejno symfoniki Szymanowskiego. Równocześnie grane były nie tylko utwory muzyków polskich o już wyrobionych nawiskach, lecz i młodzieży, której poświęcano nawet wieczory kompozytorskie, choć były z góry skazane na deficyt. — Także i dlatego przed pracą filharmoników warszawskich między wojnami czoła uchylić musimy ze szczególnym szacunkiem. Dzięki nim Filharmonia Warszawska była zaiste, jak powiedziano w akcie erekcyjnym gmachu, „przysłupkiem narodowej muzyki“.

Jeszcze na wiosnę 1939 r. odbył się w Warszawie, z udziałem orkiestry Filharmonii, Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej — ostatnia wielka impreza artystyczna przed zmasakrowaniem Europy przez Hitlera. Sezon 1939/40 został już otwarty wyciem hitlerowskich „Stukasów“, gdy nurkowały obsypując Warszawę bombami. Jedną z tych bomb spaliła salę Filharmonii, lecz dolne kondygnacje budynku zostały jeszcze nietknięte. Dopiero w roku 1944, w czasie powstania, ciężki pocisk z dział kolejowego przebił strop szatni, wpadł do piwnicy Filharmonii i tam wybuchnął, niszcząc gmach do reszty. W miejscu, które rozbrzmiewało muzyką, zapanowała na 10 lat martwa cisza.

SWIAT

o tym wie!



PANIENKA Z OKIENKA

Arcykat Hiszpanii — Franco, przywiózł z Portugalii gratis i franco siedemnastoletniego wnuka Alfonsa XIII — Don Carlosa. Ów syn obecnego pretendenta do korony hiszpańskiej (!!!) Don Juana, ma w Madrycie uczyć się faszystwu od swego dobrodziejstwa i czekać, aż zamknie on oczy — po najdłuższym i najbardziej zbrodniczym życiu. Franco daje mu dość mgliste terminy koronacji i w ostatnim swym przemówieniu przebąkiwał dość niedwuznacznie o „dożywot-



Z KRONIKI BZDURY



EXTRA 20th Century
Orfeo Angelini

Z CZASÓW SOBIESKIEGO

Podczas robót ziemnych w centrum Wiednia na resztki starych murów miasta, a także i na bardziej makabryczne pamiątki z czasów pamiętnego rozgromienia wojsk Kara Mustafy przez króla Jana Sobieskiego w 1683 roku.

fol. Keystone



KTO ZAGŁADA DO KIELISZKA?

Amerykańska firma Robert L. Stern z Brooklynu reklamuje ostatnio

obszernie (w kraju i za granicą) swój najświeższy „wynalazek“. Polega on na tym, iż niezmiernie długa fika do papierosa połączona jest w jednym kawałku szkła z kieliszkiem do wódki. Firma zapewnia, iż stały widok napelnionego kieliszka wprost przed oczyma ratuje przed „spleenem“ i znakomicie wpływa na smak palonego papierosa. Ten epokowy wynalazek powinien jeszcze (w dalszym stadium rozwoju) zaprezentować się PT Publiczności w gustownym wykonaniu: białe myszki pływające wokół kieliszka.

KSIĄŻKI MOGĄ POCZekać



Jak podaje tygodnik hamburski „Der Stern“ z 13 marca — w wilgotnych piwnicach zamku w Marburgu gnieje skarb wartości wielu milionów marek. Skarb ten — to zbiory dawnej Biblioteki Pruskiej ewakuowane w czasie wojny przez hitlerowców na zachód. Do opieki nad zbiorami, obejmującymi blisko 2 miliony tomów, przeznaczono jednego człowieka. Księgi, częstokroć białe kruki, leżą w stertach. Nikt się nimi specjalnie nie interesuje. Widocznie Wehrmacht ważniejszy...

MISIE (NIE Z PLUSZU)

Trudno doprawdy powiedzieć, kto komu bardziej się przygląda: czy zwiedzający norymberskie Zoo tym trzymiesięcznym niedźwiadkiem polarnym — czy też te białe misie — zwiedzającym. Pocieszne harce i prześmieszne miny dwunogich istot radują oczy tych nieletnich niedźwiadków.

fol. Keystone



Historię poniższą podajemy za amerykańskim tygodnikiem „Newsweek“:

even the most powerful telescopes.

It was the second annual Spacecraft Convention, and the speakers were men and women who claimed to have visited outer space in spaceships, flying saucers, and what not, and to have consorted with Martians, Venusians, etc.

Among them was Daniel W. Fry, an

„Pewnego dnia na pustyni Mojave w Kalifornii zebrał się drugi doroczny Kongres Wiedzy Przestrzennej. Z dala od szysterstw sceptyków, żując kanapki i popijając lemoniadę, słuchano opowiadań o podróżach w pozaziemskie przestrzenie na statkach powietrznych, latających spodkach i tym podobnych urządzeniach i o spotkaniach z Marsjanami, Wenusjanami i mieszkańcami innych planet, z których pewne nieznane są w ogóle nauce i niewidoczne przez najpotężniejsze teleskopy.

Jeden z licznych mówców, 56-letni Truman Bethrum, opowiedział o swoich 11 przejażdżkach na podobnej do spodka łódce, przybyłej z nieznanej planety Clardon. Załoga spodka składała się z 32 osób, a dowódcą była kobieta, Aura Rhanes. Aura miała południową cerę, ciemne włosy i ciemne oczy i — co więcej — ubrana była w „spódnice koloru płomienia i bardzo obcisłą czarną bluzkę“.

— To na pewno była kobieta, całkiem na pewno — oświadczył pan Bethrum zebranym, chichocząc z radości.

Także pani Dana Howards mogła się poszczycić nie byle jakimi przygodami. Udało się jej trafić aż na Wenus, gdzie po niedługim pobycie wyszła za mąż za Wenusjanina nazwiskiem Lelando. Ostatnią wiadomość miała od niego przed sześciu tygodniami.

Niejaki Orfeo Angelini rozdawał tymczasem chętnym egzemplarze pierwszego numeru wydawanego przez siebie pisma „20th Century Times“, którego szpalty wypełniały relacje z przygód redaktora, a w szczególności opisy jego spotkań z „wytwornymi osobistościami“ na pokładzie statków.

— To było cudowne zebranie — westchnęła jedna z uczestniczek na zakończenie zebrania — przeżyćie podnoszące na duchu.

A towarzysząca jej dodała: — Tak, na świeżym powietrzu atmosfera sprzyja uduchowieniu i pokrzepia człowieka“.

Cóż? Proponujemy, żeby uczestnikami miłego zebranka zajął się jakiś dobrze prowadzony zakład dla umysłowo chorych — oczywiście, koniecznie na świeżym powietrzu.



— Nie mam urlopu, ale mam adapter, nie żałuję! Przychodź, Feluś, w święta, będziemy od rana do nocy „Siwy włoś“ rąbać i jajeczko pod „Ciche wode“ zagryzać. Niech mnie kosztuje. Za muzykę dam się powiesić! Jednego im tylko nie wybaczę, że się musieli z powodu tego wrodzonego umuzykalnienia anatomicznie wyszczególnić...

— I to we wzorcowym sklepie. Chciałbym widzieć wobec tego, jak ten muzyczny handel w niewzorcem, tylko w zwykłym sklepie odchodził.

Co u licha — myślę — na dwa głosy Wiecha czytają? I to o 4 po południu, w najruchliwszym miejscu Nowego Świata? Obejrzałam się. Za mną dwóch młodzieńców w starszym wieku i w cyklistówkach. Jeden rzeczywiście dźwigał adapter, drugi pleczeniowiec tułił do piersi karton z płytami.

— Przepraszam panów — zaczęłam nieśmiało — czy to poznański, czy łódzki?

— Nie zgadłaś. Dorszowo, autentyczny czeski, tylko skrzyneczka obskurna, znaczy domowego chowu, czyli krajowa. Wszystkie razem za jedne 950 złotych. Pędzić, lecieć i z okazji kożystać, póki pensja na święteczne zakupy z kieszeni nie wyfrunęła. Tu zarząd Zarządu Przemysłu Muzycznego pod pięćdziesiątą piątą.

— Proszę pana, jeszcze chwila... Pan coś do kolegi mówił o jakimś anatomicznym wy... hm... co to właściwie znaczy?

A to już, Syrogonko, sama na własne oczy zobaczysz. A teraz to już lepiej leć, damśka Rybko, żeby potem nie było o te jedną sekundę za późno.

Pobiegłam więc co tchu i... zobaczyłam. Tuż przy drzwiach, na podłodze, kłębili się wśród jasnych i ciemnych skrzynek... no, jakby to wyrazić... powiedzmy... te części ciała, na których zazwyczaj siedzimy... Głównie było widać, bowiem zagłębione do adapterów, które ich właściciele (głównie adapterów i tych części ciała) kolejno podłączali do kontaktu. Nad tym pelzającym tłumem wymachiwała miotła niezłym wiedźmą z Łysej Góry rozkochana sprzątaczką, popędzając kupujących gromkimi okrzykami:

— Przedz! Posuwać się! Dostyc już tego sprawdzania! Następny!

Ponieważ sklep dość niefortunnie przedzielono sznurem, żeby odgrodzić adaptery od amatorów, w weźszej jego części (przeznaczonej dla klientów) było tłoczno do niemożliwości. Przy ladzie królowali dwaj nachmurzeni półbogowie.

— Proszę pana, czy można obejrzeć?

— Najpierw zapłacić.

— Hmmm... No... dobrze, ale niech mi pan chociaż wybierze jasny, żeby pa-sował do mebli.

— Wszystkie są jednakowe.

— Chyba jednak nie, bo widzę, że są i ciemne. Ojej, to pan akurat przyniósł właśnie ciemny. Bardzo pana proszę,

niech pan zamieni. O, ten pan obok mówi, że on go weźmie. Świetnie się składa, nie musi pan odnosić, ale dla mnie niech pan już wybierze jasny, dobrze?

— Pan płaci za ten ciemny?

— Płacę, ale proszę mi łaskawie pokazać, jak należy się z nim obchodzić.

Nachmurzony półbóg rzucił pełną pogardy spojrzenie na „chama“, który śmie kupować adapter nie wiedząc jak się z nim obchodzić. Z oczami utkwionymi w sufit i miną znudzonego księcia rzucił z szybkością kulomiotu pięć słów „wyjaśnienia“. No cóż, stos adapterów pod ścianą topnieją jak śnieg na wiosnę, towar jest chodliwy, nie ma potrzeby zabiegać o klienta.

Na tym właściwie koniec opowiadki. Ja jednak pozwól sobie przeprosić najuprzejmiej Zarząd Przemysłu Muzycznego i zapytać:

Czy tak musi wyglądać sklep wzorcowy? Czy nie można wypróbować adapterów bez „anatomicznego wyszczególniania się“ i tarzania się po podłodze? Czy Zarząd Przemysłu Muzycznego nie stać na skromny stolczyk, na którym można by stawiać próbowane adaptery? Czy nie można by pouczyć ekspedientów, że sklep jest dla ludzi, a nie ludzie dla sklepu i że kupującego należy grzecznie i uprzejmie obsłużyć oraz grzecznie i uprzejmie udzielić mu żądanych informacji? Czy rzeczywiście klient nie ma prawa domagać się podłączenia adapteru do głośnika nawet jeżeli w tym celu przynosi własną płytę, lecz musi za ciężkie pieniądze kupować przysłowiowego kota w worku, jak tego chcą ekspedienty?

FILATELISTYKA



W Holandii pod koniec każdego roku wydawana jest tradycyjna seria „Pomoc dzieciom“, przy której poczta pobiera dodatkowo — oprócz normalnej wartości znaczka — niewielką nadpłatę, przeznaczoną na fundusz pomocy, dla najbardziej potrzebujących dzieci.

Ostatnią taką serię zamieszczamy. Przynosi ona tym ra-

zem sceny z życia dzieci: 2 + 3 centy — klejenie zabaw papierowych, znaczek koloru brązowego; 5 + 3 ct — mycie zębów, c. zielony; 7 + 5 ct — „młody żeglarz“, szaroniebieski. 10 + 5 ct — opiekunka dzieci, czerwony; 25 + 8 ct nauka — rysunki z natury, c. granatowy. Seria wykonana została techniką rotograviurą w formacie 32 x 24 i 24 x 32 mm.

Z. R.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 183

FANTAZJA KRZYŻOWKOWA: Dośrodkowo: adres, anons, grosz, Gogol, maska, mazur, blaga, Burza, frant, flaga, saper, suita, katon, ksyż, flota, flora, bazar, bajka, gwint, gmina, lejek, pułap, autor, znicz, bagno, akord, konto, śpiew, Twain, Nurmi.

Po obwodzie kół: miód, negr, ospa, apel, upór, lama, ujma, stal, lipa, Azow, runo, Suez, Aida, tusz, zwój, Atlas, szala, (znaczenie tego wyrazu winno brzmieć: część wagi), rabat, arkan, katar, jodla, tuzin, gazon, nadir, afera, przodownik.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 183 nagrody książkowe otrzymują: J. Łukasik — w. Chwałibogowie, pow. Tarnów, Z. Stolzberg — Gdańsk, H. Grabowska, Zespół Światłowy Prac. Ogrodu Działkowego „Dębinki“ — Kraków, Z. Tetlaiff — Łowicz, M. Lewandowski — Matwy, M. Sroka — Opole, K. Janeczarek — Oświęcim, J. Koinierzak — Otwock, S. Józwiak — Poznań, Z. Nowak — Stupsk, J. Turant — Staliność, Z. Majer — Sulmierzyce, M. Sicińska — Ursynów, W. Jung, T. Kujawa, S. Nowak, Z. Utkowa, K. Wleczyńska — Warszawa, C. Raczynski — jedn. wojsk.

LENGREN



— Niepotrzebnie się szanowny pan denerwuje, po prostu sprzedaliśmy pomyłkowo nawóz na wzrost jarzyn

SZACHY

PARTIA NR 147

grana na turnieju międzynarodowym w Montevideo, zorganizowanym dla uczczenia kongresu UNESCO. Obrona królewsko-indyjska

Białe: dr Bernstein
Czarne: Najdorf

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 d7—d6 3. Sb1—c3 Sb8—d7 4. e2—e4 e7—e5 5. Sg1—f3 g7—g6 6. d4:e5

Opinie wszystkich teoretyków są zgodne co do tego, że po biciu na e5 czarne nie mają kłopotów z wyrównaniem.

6... d6:e5 7. Gf1—e2 c7—c6 8. 0—0 Hd8—c7

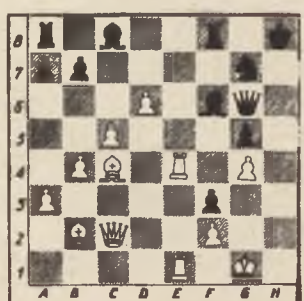
Rozwinięcie hetmana na polu e7 uchodzi w tym wariantcie za silniejsze.

9. h2—h3 Sd7—c5 10. Hd1—c2 Sf6—h5

Zarówno to posunięcie jak i 12 nie mogą zastąpić na pochwałę. Wygląda na to, że Najdorf chciał jak najbardziej skomplikować partię. Udało to mu się, ale ostateczny skutek tych komplikacji okazał się chyba inny od zamierzonego.

11. Wf1—e1 Sc5—e6 12. Gc1—e3 Gf8—e7 13. Wa1—d1 0—0 14. Ge2—f1 Sh5—g7

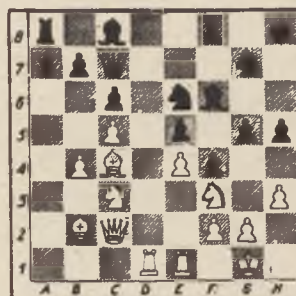
Czarne przygotowują f7—f5 15. a2—a3 f7—f5 16. b2—b4 f5—f4 17. Gc3—c1 Ge7—f6 18. c4—c5 Gg6—g5 19. Gf1—c4 Kg8—h8 20. Gc1—b2 h7—h5 Do ostrej, niejasnej gry prowadziło 20... Sd4 21. S:d4 e:d4 22. Se2 f3. Teraz nastąpi grom z jasnego nieba.



Pozycja po 26... h7—h5

21. Sc3—d5! c6:d5 22. e4:d5 Se6—d4 23. Sf3:d4 e5:d4 24. d5—d6 Hc7—d7 25. Wd1:d4!

Po ofiarowaniu figury dr Bernstein nie cofa się przed oddaniem jakości, ażeby osiągnąć decydujące osłabienie pozycji czarnego króla. Bicie wieży byłoby dla czarnych skrajnie niebezpieczne. Np. 25... G:d4 26. G:d4 Wb7 27. Hg6! lub 26... Hf5 27. Hc3 Hg6 28. We7.



Pozycja po 28... Hf5—g6

25... f4—f3 26. Wd4—e4 Hd7—f3 27. g2—g4 h5:g4 28. h3:g4 Hf5—g6 29. We4—e8!

Arcymistrz prowadzi atak we wspaniałym stylu! Na 29... H:c2 nastąpiłoby 30. W:f6+ Kh7 31. Gg8+ Kh8 (31... Kh8 32. Gb3+) 32. W:f6+ itd. Dlatego też Najdorf musi zwrócić figurę.

29... Gc8—f5 30. We8:a8!

Wf8:a8

Nie wolno, oczywiście. 30... G:c2 31. W:f6+ Kh7 32. Gg8+ itd.

31. g4:f3 Hg6—h5 Najdorf, wykorzystując niepewną pozycję białego króla grozi matem.

32. We1—e4 Hh5—h3 33. Gc4—f1 Hh3:f5 34. We4—h4+!

72-letni dr Bernstein prowadził całą partię po prostu fantazyjnie! 34... g5:h4 35. Hc2:f5 Sg7:f5 36. Gb2:f6+ Kh8—g8 37. d6—d7 i czarne poddały się. Przebiegła partia, która przejdzie do historii szachów.

GŁOS O ZAKOPANEM Z... TOBOGANU

O Pogotowiu Tatrzańskim pisało się dużo i to słusznie w superlatywach. Wadą jednak tych wszystkich opisów jest to, że pochodzą one najczęściej z cudzego doświadczenia. Znajduję się w tym szczęśliwym czy raczej nieszczęśliwym położeniu, że mogę o tych sprawach zabrać głos na podstawie doświadczenia własnego. Można by to nazwać: Głos o Zakopanem z toboganu.

W dniu 18 marca 1955 r. o godzinie 10 rano w czasie narciarskiej wycieczki na Krzyżne złamałem nogę.

Było nas trzech: przewodnik i kolega-lekarz. Dzień był do południa słoneczny, od południa do godz. 15 lekka zamieć, potem mroź. Wypadek zdarzył się w odległości mniej więcej półtora do 2 godzin marszu od schroniska. Wobec powyższego — obiektywnie — warunki, w jakich zdarzył się wypadek, należy ocenić jako bardzo szczęśliwe. Mimo że przewodnik natychmiast zjechał do Gasienicowej i po 3 i pół godzinach wrócił z toboganem, to jednak transport rozpoczął się dopiero około godziny 15. Trwał do godziny 20, o której znalazłem się w szpitalu. Przyczyna tego była ta okoliczność, że w całym rejonie Hali Gasienicowej i Płocin Stawów był tylko jeden ratownik, a do transportu potrzebne było co najmniej 5 ludzi, których trzeba było zmobilizować w Zakopanem. Trzeba doprawdy podziwiać ofiarność i samozaparcie ratowników, którzy, nie zważając na siebie, w niesłychanie ciężkich warunkach transportowali mnie na toboganie poprzez Pańszczyce do Psiej Trawki, gdzie czekały już sanie.

Ci ludzie dali z siebie wszystko. Co dano im? Wynagrodzenie mało kwalifikowanego robotnika bez odpowiedniego wyposażenia. Dozorca nocny otrzymuje ubranie robocze w postaci kozucha i filcowych butów. Ratownicy Pogotowia Tatrzańskiego jeżdżą we „własnym“, jak sami mówią, mimo że pracować muszą raczej w ciężkich warunkach. Był zawodnik sekcji narciarskiej prowincjonalnego klubu jest wyposażony lepiej w sprzęt i ubiór sportowy niż ratownicy. Gdyby byli zawodnikami, otrzymaliby wyposażenie z klubu.

Przez kilka godzin zjeżdżania na toboganie usłyszałem wszystkie zale ratowników pod adresem władz. Dotyczyło to ubioru, jak też zbyt małej liczby dyżurnych ratowników w węzłowych punktach.

Po przybyciu do Zakopanego o godzinie 20 znalazłem się w szpitalu, gdzie po nałożeniu opatrunku oświadczone mi, że pozostawić mnie w szpitalu nie mogą, bowiem wszystkie łóżka są zajęte. Szczęśliwie mam wśród mieszkańców Zakopanego kilku przyjaciół, którzy przysięgnęli mi na kilka dni, póki nie uzyskam (puszczając w ruch wszystkie dzwignie) miejsca szpitalnego do Warszawy.

Wydaje mi się, że czas już zwrócić uwagę na następujące sprawy:

a) bezpieczeństwo turysty w górach, wobec nastawienia pogotowia przede wszystkim na obsługę wypadków ulicznych (jak lekarze nazywają złamanie na trasie Kasproy-Kuźniek szczególnie via Boczan) oraz ze względu na niechęć wczasowiczów do włączania się do akcji ratowniczej — też pozostawia wiele do życzenia,

b) pomoc lekarska dla nieszczęśliwych wypadków na terenie Zakopanego jest absolutnie niedostateczna,

c) musi być rozwiązana sprawa transportu chorych z Zakopanego.

Pomijając kwoty przewidziane w planach inwestycji, w tej chwili należy zastanowić się nad pewnymi środkami zaradczymi, które można zrealizować jak najmniejszym nakładem staraj i kosztów. Wydają się one następujące:

1) usunąć kursy i zorganizowane obozy ze schronisk wysokogórskich szczególnie z Chocholowskiej, Ornak, Gasienicowej i Płocin Stawów oraz ściśle przestrzegać zasady nieprzebywania w okresach wielkiego ruchu tej samej osoby w schronisku dłużej niż 2—3 dni z rzędu.

2) zbliżyć ratowników Pogotowia Tatrzańskiego do gór w ten sposób, aby w każdym wysokogórskim schronisku było stale 2—3 ratowników, a nie żeby pomoc z reguły trzeba było ściągać z Zakopanego,

3) polepszyć wyposażenie pogotowia, w szczególności polepszyć jakość artykułów włókienniczych, skórzaných i sprzętu sportowego na wyposażenie ratowników,

4) do czasu powstania w Zakopanem filii Instytutu chirurgii urazowej uruchomić szpitalik urazowy przynajmniej na 15—20 łóżek, w którym mógłby otrzymać pierwszą pomoc i przenocować 1 lub 2 noce poszkodowany turysta bez konieczności skakania na jednej nodze do obcych mieszkań z proszą o przenocowanie,

5) zabezpieczyć stale w pociągach szpitalnych, odchodzących z Zakopanego, przynajmniej jedno miejsce dla osób okaleczonych, aby umożliwić tym osobom jak najszybsze i najdogodniejsze dostanie się do domu (mniejsze takie mogłyby być w dyspozycji konduktora do 30 minut przed odjazdem).

Na zakończenie dwie uwagi. Leżąc na śniegu i saniach przez 10 godzin od złamania nogi do momentu znalezienia się w szpitalu, na własnej skórze przekonałem się, co to jest wypadek w górach.

Mam wrażenie, że prasa zbyt wiele poświęca uwagi (niewłaściwie bohaterstwu i efektywnym) wyczynom pogotowia, przez co stwarza wrażenie, że znakomita większość wypadków, w których interweniuje pogotowie (jeśli tylko nie było śmiertelnych obrażeń), kończy się szczęśliwie. Otóż muszę stwierdzić na podstawie własnego doświadczenia, że gdyby wypadek zdarzył się o dalszą godzinę czy dwie marszu od schroniska względnie gdyby zdarzył się o późniejszej porze, to, mimo akcji ratowniczej, nie wiadomo w jakim stanie znalazłbym się w szpitalu, zaszłoby bowiem prawdopodobnie konieczność noclegu w górach, którego w stanie szoku porażowego nie zniosłbym.

Łączę wyrazić poważania

EMANUEL SARNOWSKI
Warszawa, ul. Krasickiego 43

FRASZKA

DO NIEJEDNEGO SĄSIADA

Pomyśl, mój drogi, jak gwiazdy

Cicho na niebie migocą

I nie bądź, ach, błagam, nazbyt

R a d i o-aktywny nocą.

TADEUSZ FANGRAT

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“ Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłęsodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 244. Papier rotogr. V.80—82 cm — 6-B-5033 podpisano do druku 13.IV.55 r.

tylko
dla
Kobiet

N O S

NATURA ma swoje kaprysy. Jednych obdarza jastrzębim wzrokiem, drugich absolutnym słuchem, jeszcze innych... kłopotliwie dobrym węchem. „Węchowcy” tworzą oddzielną grupę ludzką, wyodrębnioną przez oficjalną naukę jako „homo olfactorius”. Sami o sobie mówią, że w życiu mają więcej przykrości niż przyjemności, stwierdzają, że ich sym-

Węchowcy mają własne rozróżnienia zapachów. Dzielą wonie na: gorzkie i słodkie, stonę i niesłone, mokre i suche, siakie i owakie. Jeszcze inni — wszystkie niskogatunkowe perfumy grupują pod wspólną nazwą „bez na wagę”.

Gdybyście, Czytelniczki miłe, zapytały „węchowca”, jaką woń uważa za najpiękniejszą, ręczę, że odpowiedź wprawiliby niejedną z Was w zdumienie. Usłyszalibyście, że najpiękniej pachnie siano, terpentyna, kamfora, wilgotne liście olchy (koniecznie olchy!), dym z palonego drzewa (nie węgla!), żywica rozrarta w palcach, igły chińskiego jałowca (juniperus chinensis), świeżo wyprawiona skóra i świeżo zorana ziemia, wanilia, drzewo sandałowe (typowy „słony” zapach...) itd. itd. Najmniej — o dziwo! — byłoby tam kwiatów. Jeśli chodzi o zapach owoców — wielu „węchowców” żywi np. głęboką niechęć do melona...

Oczywiście — powiecie — wszystko jest rzeczą gustu i nie mamy sobie co zawracać głowy opiniami ludzi ze specjalnie drażliwym powonieniem. Zgoda. Nie musimy naśladować ich sympatii i antypatii, ale zdanie „węchowców” o perfumach i wodach oraz o sposobie ich używania będzie ciekawe. I kto wie, czy nie warto by się tym zdaniem kierować...

Jeżeli pracujesz fizycznie — używaj wyłącznie czystej wody kolońskiej. Nigdy perfum czy wód o skomplikowanym zapachu. Perfumy, pomieszczone z



JAK WAM SIĘ PODOBA?



wonią zgrzanego ciała, dają zapach trudny do wytrzymania nawet dla ludzi o tępym nosie...

Tak jak nie robisz oszczędności na mydle, tak samo nie rób oszczędności na gatunku perfum czy wody. Raczej używaj ich mało, ale wyłącznie w bardzo dobrym gatunku.

Perfumuj raczej skórę niż ubranie. Dlaczego? Dlatego, że materiały posiadają własny zapach (np. wełna), który często psuje najładniejszą woń perfum. Ubranie, które nosisz codziennie, nasiąka zapachem potu i tłuszczu wydzielanego przez skórę, co w połączeniu z perfumami daje często wynik... katastrofalny.

Nie kieruj się modą przy wyborze perfum, staraj się znaleźć takie, które naprawdę ci się podobają, z którymi się żyjesz, które nie będą cię męczyły.

Zmieniaj perfumy od czasu do czasu. Dlaczego? Dlatego, że używając stale jednych, przyzwyczajamy się tak, że nie czujemy ich zapachu. Stąd niebezpieczeństwo zbyt hojnego oblewania się perfumami.

Tak jak umiar jest cechą eleganckiego ubrania, tak dobre perfumy charakteryzuje brak natręctwa ich woni.

Perfumuj skórę za uszami, szyję, ramiona i przeguby rąk. (Te ostatnie z myślą o męskiej manii całowania w rękę...).

Tak powiadają ultra „węchowcy”.

Pod powyższym mogę się tylko podpisać!

ANNA ZIÓŁKOWA

NOTKI
PLOTKI

WIOSENNA PARADA

NADCHODZI wiosna. Liczne są tego oznaki. W Warszawie jedną z nich jest niewątpliwie widok witryny zakładu fotograficznego przy placu Trzech Krzyży. Spoglądają zza niej na ulicę fotografie kilku naszych bardziej (lub mniej) wybitnych literatów. Ale jakie fotografie! I jak spoglądają!... O, w tym roku wiosna — niedościgniona mistrzyni retuszu — wyraźnie zaniedbała i ogrody i parki, byle tylko przetrwać oszałamiającego uroku owym fotografiom. Z jaką zadróżką muszą się im przyglądać gwiazdy filmowe! W ich zawodzie aparycja i fotogeniczność jest przecież nie mniej decydującym warunkiem popularności! A zważywszy, że to dopiero początek — właściwy okresowi pierwsiosnków. Bo gdy zakwitną bzy i jaśminy — wtedy już wiosenne szaleństwo ogarnie witrynę zakładu fotograficznego przy placu Trzech Krzyży. I ujrzymy tam na pewno kilka rozkosznych aktów. Dowoli więc będziemy mogli karmić oczy karnacją ciał naszych mistrzów (i nie mistrzów) pióra. Ach, wiosna!...

TYLKO PISAĆ O TYM A PISAĆ...

RZECZĄ cenną — i dla współczesnych i dla potomnych — są rozmowy wielkich pisarzy. Szczególnie, gdy obaj rozmówcy mają sobie wiele do powiedzenia. Przykładem rozmowa, jaką ostatnio przeprowadził Jan Dobraczyński. W Paryżu. Z pisarzem francuskim Francois Mauriac. Wszystko, co w tej rozmowie obydwu pisarzy było cenne, Dobraczyński zamieścił drukiem w „Tygodniku Powszechnym”. W dwustu zdaniach. A może nawet trzystu. W każdym razie artykuł jest spory. I można się z niego dowiedzieć, że Dobraczyński zapytał był Mauriaca, czy nie wybrałby się on do Polski. I można się dowiedzieć, że Mauriac odparł był na to: „Oczywiście, z największą chęcią. Zaproszcie mnie, to przyjadę. Ale nie teraz — kiedy będzie ciepło”. I jeszcze się można dowiedzieć, że Mauriac nie poprzestął na tych trzech zdaniach. Wypowiedział poza tym dwa inne, co daje w sumie oszałamiającą cyfrę pięciu zdań. Czarno na białym widnieją one w sążnistym artykule, który J. Dobraczyński poświęcił w „Tygodniku Powszechnym” swojemu spotkaniu z Mauriac’iem.

O, cenne i pouczające bywają niektóre rozmowy ludzi pióra i intelektu! Tylko pisać o nich a pisać...

PARA W TYŁ!

W „ŁAŻNI” Majakowskiego, wystawionej ostatnio w Warszawie przez łódzki teatr „Nowy”, jest mowa o „maszynie czasu”, dzięki której można się przenieść bądź w przeszłość, bądź w przyszłość. Okazuje się jednak, że są u nas instytucje, które z powodzeniem korzystają z tej maszyny w życiu codziennym. Można to łatwo stwierdzić np. przy wjeździe do Starego Miasta. W pobliżu Kolumny Zygmunta znajduje się olbrzymia tablica, u której szczytu widnieje dumny skrót „ZBM-W3-KAM”. Tablica przedstawia — dla użytku licznych wycieczek zwiedzających warszawską Starówkę — plan odbudowy tej dzielnicy. W objaśnieniu można tam jeszcze dziś przeczytać, że plan przedstawia obiekty, które „ZBM-W3-KAM” przekazał w 1953 roku, oraz te, które jeszcze przekaże w roku 1954.

Nic więc nowego ta „maszyna czasu”. Działa. Może tylko nazbyt jednokierunkowo. Świadkiem mi na to chociażby „ZBM-W3-KAM”.

WIADOMOŚĆ BEZ KOMENTARZA

OSTATNIO prasa zagraniczna doniosła, że chemikom niemieckim udało się spreparować specjalną pastę, która działając hamująco na porost włosów umożliwiłaby golenie się tylko dwa razy w miesiącu.

Podobno wiadomość ta wzbudziła olbrzymie zainteresowanie również w niektórych naszych redakcjach. Tych mianowicie, które celują w publikowaniu dowcipów „z broda”. Spodziewają się one bowiem, że tylko owa pasta mogłaby przywrócić świeżość ich działom humoru.

W KRĘGU MOKREJ PLAMY

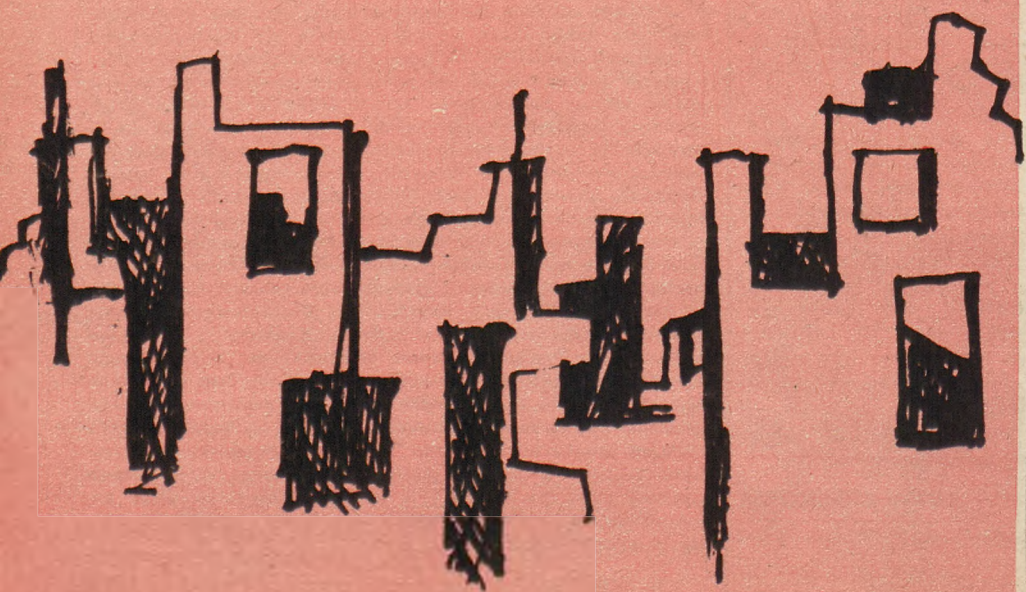
PRZEZ kilka tygodni trwała w Klubie Związku Literatów wystawa obrazów Bogumila Szwacza. Malarza abstrakcjonisty. Na zakończenie wystawy odbyła się dyskusja. Górą w niej byli entuzjaści malarstwa abstrakcyjnego. Napiecie w dyskusji doszło do zenitu, gdy do głosu się dorwał młody malarz Kupeczyński. Mając zapewne na myśli przeciwników malarstwa abstrakcyjnego, stwierdził on w ferworze, że „należy bić w mordę” (!). Na szczęście apel ten pozostał bez echa. Nie zabrakło jednak komentarzy. Antoni Słonimski (mówiąc z dużą sympatią dla młodzieńczej zadrzystości, a z „sympatią” o wiele mniejszą dla wymachiwania pięścią) zwrócił przy tym uwagę na współzależność, jaka istnieje między różnymi dziedzinami twórczości. Mianowicie, że sformułowania, których użył malarz Kupeczyński, są bardzo pokrewne, w swym tonie, sformułowaniom, jakie ostatnio zdaje się lansować „Nowa Kultura” i „Przegląd Kulturalny”. Ponieważ Antoni Słonimski nie poparł swego stwierdzenia żadnymi cytatami z naszych ohyduw czołowych pism literackich, sprawa może się wydać postronnym trochę niejasna. Chyba że tę niejasność rozświetlił im bojowy okrzyk malarza Kupeczyńskiego. Jak by z tego wszystkiego wynikało, realiści i abstrakcyjniści jednak mogą mieć czasem wspólną płaszczyznę. Nie tyle nawet w dziedzinie plam kolorystycznych, ile w dziedzinie tzw. mokrej plamy, w jaką się zamienia przeciwnika.

„Stawiać będziemy opór tym, którzy przygotowują wojnę atomową. Żadamy zniszczenia zapasów broni atomowej we wszystkich krajach i natychmiastowego wstrzymania jej produkcji.“

WYBIERAJ...



A



...i PODPISZ